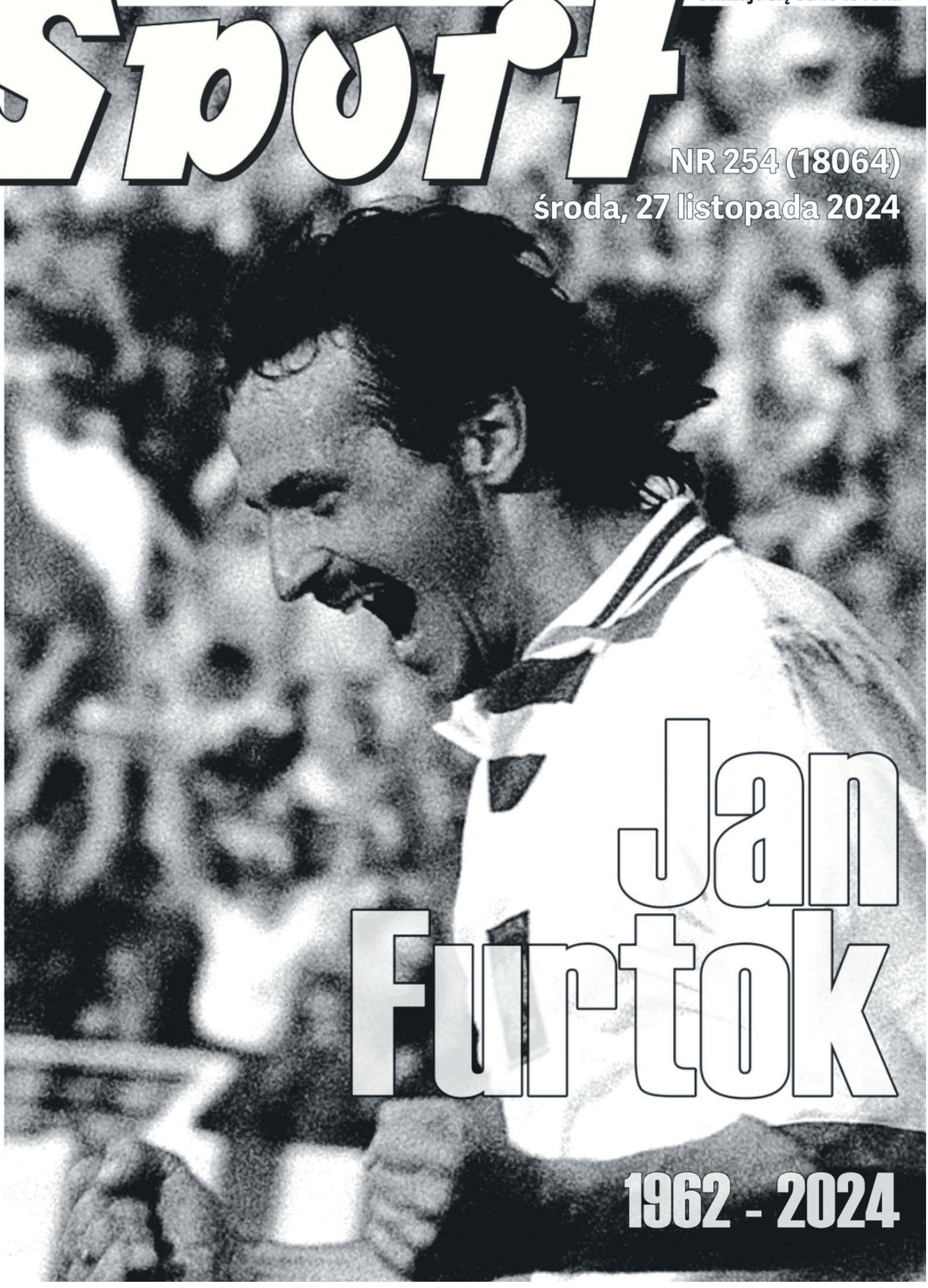
Sport

Ukazuje się od 1945 roku

NR 254 (18064)
środa, 27 listopada 2024



Jan Furtok

1962 - 2024

Sport d013799584

Zjadanie własnego ogona



Rozmowa z **Józefem Drabickim**, byłym prezesem i wieloletnim dyrektorem sportowym Piasta Gliwice



Finansowe eldorado w Piaście dobiegło końca.

Fot. Łukasz Sobala/PressFocus

Co się dzieje w Piaście?

– Są dwa duże problemy – pierwszy sportowy, a drugi finansowy. Ze sportowym można sobie jeszcze jakoś poradzić, natomiast drugi problem jest trudniejszy do rozwiązania. Na klubie ciąży przecież duży dług.

Wynosi 33 miliony złotych, a na już potrzeba 14 milionów. Kogo winić za tę sytuację? Kto za to odpowiada?

– Dług nie urodził się w ciągu jednego sezonu. To efekt wieloletniego zadłużania się. Dziwię się, że wcześniej nie było jakiejś reakcji, żeby wszystko zahamować, nie zrobiono porządnej analizy. Niby audyt jest, ale chciałbym zobaczyć porządną analizę tego zadłużenia, a przede wszystkim

103 procent budżetu na fundusz płac piłkarzy to przeholowanie

ludzie w klubie powinni się z tym zapoznać. Z czego to zadłużenie się składa, jaka jest jego struktura i widzieć, w których dziedzinach coś można ograniczyć, bo tutaj nie da się tak działać, że wszystko tniemy na rympał. To nie jest metoda. Trzeba działać tak, żeby uratować klub i finansowo, i sportowo. Nie można teraz poobcinać pensji i kontraktów zawodników, a raczej przyjrzeć się temu, jak były podpisywane i czy struktura funduszu płac piłkarzy mieściła się w budżecie. Zwyczajowo to jest około 80 procent budżetu.

Aż 80 procent?

– Często tak w klubach to właśnie się mierzy. To bardzo ważny współczynnik. Ile mamy pieniędzy i ile wydajemy na piłkarzy, bo to wszystko generuje te wszystkie wydatki.

Na piątkowej konferencji wyszło, że nawet... 103 procent budżetu szło czy idzie na płace dla zawodników!

– To już jest nienormalne. Można powiedzieć, że w ten sposób klub zjada własny ogon. 103 procent budżetu to przeholowanie i wytworzenie wielkiej dziury w budżecie. Bo przecież są także inne koszty, w klubie są też inne wydatki. Fundusz płac piłkarzy jest bardzo kosztogenny, natomiast są też jeszcze inne wydatki i tego wszystkiego też trzeba przecież pilnować. W zależności od tego planujemy transfery i zawieramy umowy. A jak tak się patrzy, to nie wszystkie te transfery były udane czy zasadne. Po co sprowadzać zawodników wypalonych czy takich, którzy nie sprawdzili się w innych klubach? Dlaczego mieliby się sprawdzić w Piaście? To było nienormalne.

Właściciel klubu, czyli miasto, wskazuje palcem na mniejszościowego udziałowca Zbigniewa Kałużę, który – według słów gliwickiego magistratu – blokuje pomysły na rozwiązanie trudnej sytuacji. Jak pan na to patrzy?

– Nie można w tej chwili obciążać się odpowiedzialnością i zrzucać winę czy to na jednego, czy na drugiego. Udziałowiec mniejszościowy razem z miastem powinni znaleźć w tej sytuacji wspólne rozwiązanie, choćby na dokapitalizowanie klubu. Co to da, że pan Kałuża się na to nie zgodzi? W ramach tej odpowiedzialności powinna być podjęta mądra decyzja, która pozwoli na wyjście z całej tej sytuacji. Nie można tak, że wzajemnie się będziemy obciążać winą. Co to da? Trzeba oczywiście zrobić porządną analizę i wykazać, kto dopuścił do tego, że takie większe koszty szły na fundusz płac zawodników. To jedna sprawa. Druga – trzeba redukować umowy, zobowiązania krótkoterminowe na długoterminowe. Trzeba tutaj dyplomacji i kunsztu, żeby wypracować jakieś zasady.

Lepiej chyba załatwiać takie sprawy w zaciszu gabinetów niż na forum publicznym, prawda?

– Tylko w ten sposób takie rzeczy się dogaduje. Jeżeli jest problem, a jest problem z płatnością, to trzeba z firmami i podmiotami rozmawiać, znaleźć jakieś rozwiązanie. Piast musi dostać czas na finansowy oddech. Klub musi już teraz myśleć o licencji. To nie jest tak, że odkładamy wszystko na czas, kiedy będziemy składać papiery do licencyjnego wniosku wiosną. Dziś wyprzedzająco trzeba restrukturyzować zadłużenie, żeby pokazać, że klub idzie w dobrą stronę i pokazać, że to wszystko poparte jest konkretnymi działaniami. Nie można czekać do terminu składania wniosków licencyjnych.

Pamiętam lata, jak sam pan był jeszcze w klubie, że o Piaście mówiło się tak, może płacą mniej niż inni, ale na czas, bez czasowych obsuw. Nie było wtedy problemów z płacami.

– Taka była nasza dewiza, żeby nie obiecywać ponad miarę, a potem się czerwienić i mieć z tym fantem problem. Zawsze staraliśmy się patrzeć realnie i w taki sposób zawierać kontrakty, żeby nie przedobrzyć. Taka opinia o nas w kraju się wytworzyła.

I dzięki temu łatwiej było chyba pozyskać zawodników?

– Dokładnie. Takich, co obiecują, takich tanich populistów, to było i jest wielu. Obiecują na wyrost nie wiadomo co i podchodzą, że jakoś to będzie. To nie jest dobra, ale zła metoda i można powiedzieć, że to odłożenie wyroku w czasie. Mówiłem panu lata temu, jak to przykładowo z Kamilem Glikiem wyglądało. Miał wtedy ofertę ze Stoke. Rozmowa u nas była konkretna i mógł liczyć na to, że to, co będzie na papierze, będzie miał gwarantowane. Nie obiecane, nie ryzykowne, ale pewne i Kamil zdecydował się na naszą ofertę, wybrał wtedy Piasta. Według tej samej zasady trafił do nas też Kamil Wilczek. Wszystko odbywało się według metody możliwości finansowych klubu, nigdy nie było działania na wyrost, że szaleliśmy, a co będzie za pół roku czy za rok, to zobaczymy. Nie działaliśmy w ten sposób.

Na koniec pytanie o niedzielne derby. W niedzielę Górnik wygrał w Zabrzu z Piastem 1:0, przełamując złą passę meczów bez wygranej z gliwiczanami u siebie. I ten ostatni mecz, i ten poprzednio wygrany sprzed siedmiu lat łączy to, że Piast kończył w dziesiątkę. Wtedy boisko za czerwoną kartkę musiał opuścić Jakub Szmatuła, a teraz Jakub Czerwiński.

Nie może być tak, że działa magia nazwiska, a Podolskiemu wolno więcej niż innym zawodnikom

– Historia lubi się powtarzać widać (uśmiech). Mimo że dla Piasta nie było to udane spotkanie, to przede wszystkim muszę powiedzieć, a robię to z szacunkiem dla rywala, że bardzo nie w porządku było zachowanie Lukasa Podolskiego. Można dodać, że grubo nie w porządku było również zachowanie sędziego, który pozwolił zostać temu piłkarzowi do końca meczu. To nie może być tak, że działa magia nazwiska, a Podolskiemu wolno więcej niż innym zawodnikom. Tak nie można. Tacy zawodnicy jak on powinni dawać przykład. Tutaj bardzo podobało mi się zachowanie Jakuba Czerwińskiego, który po czerwonej kartce wydał oświadczenie i przeprosił za swoje zachowanie. Czytając to oświadczenie, wiem, że mam do czynienia z porządnym człowiekiem, z porządnym gościem, który wstydzi się, że popełnił odruchowo taki, a nie inny czyn, wszystko w emocjach. Praźródłem tego zachowania Kuby było jednak wcześniejsze zachowanie Lukasa. To nie może być obojętne! Są przecież sędziowie na boisku, są sędziowie na VAR-ze. Podolski nie może być traktowany inaczej tym bardziej że tutaj powinna być sprawa jasna, swoim zachowaniem przeholował. Wiem, że błędy się zdarzają, szkoda, że to miało miejsce z udziałem Piasta, bo na pewno miało wpływ na ostateczny wynik.

Rozmawiał
Michał Zichlarz

Sport d013799584



Fot. Krzysztof Dzierżawa/PressFocus

Nad Piastem zbierają się coraz ciemniejsze chmury...

Równia pochyła

Kiedy pięć lat temu gliwiczanie zostali mistrzami Polski, klubowa kasa była pełna. Teraz nie ma śladu po tej krainie mlekiem i miodem płynącej...

PIAST GLIWICE

Mówi się, że rok w piłce nożnej to długo, a pięć lat to wręcz epoka. Widać to idealnie na przykładzie klubu, który nie tak dawno świętował sukcesy, a i organizacyjnie nie było do czego się przyczepić. Ten obraz nie tylko został zamazany, ale wręcz zburzony, bo z zysków zrobiły się straty, które teraz trzeba spłacać miejskimi pożyczkami. Jak to się stało, że obecnie mówi się aż o 33 milionach złotych długów klubu z Okrzei?

A było już tak dobrze!

Aby naświetlić niektóre aspekty, trzeba się cofnąć w czasie. Piast, zdobywając mistrzostwo Polski w maju 2019 roku, zapewnił sobie nie tylko sławę, ale i pieniądze. Piłkarze zgarnęli złote medale i sowite premie, a gliwicki klub zarobił jeszcze więcej od Ekstraklasy i Canal+.

Sukces sportowy został „skonsumowany" sprzedażą m.in. Joela Valencii i Patryka Dziczka do zagranicznych klubów, dzięki czemu klubowa kasa została wzbogacona milionami euro. Sukces sportowy i organizacyjny przypada na czasy prezesa Pawła Żelema, który finanse trzymał twardą ręką. Były sternik gliwiczan nie zawsze był oceniany pozytywnie, ale gdy patrzymy na rubryki Excela, to świeciły się one na zielono. Żelem, odchodząc z Piasta w 2021 roku, zostawiał klubową kasę z nadwyżką. Teraz pozostało tylko wspomnienie.

– Klub był w bardzo dobrej kondycji finansowej, notowaliśmy zysk w kolejnych sezonach – mówi prezes Żelem, który nie chce komentować tego, co działo się już po jego odejściu. A działo się źle... Przychody Piasta, które po mistrzostwie wystrzeliły do poziomu 51 milionów złotych, systematycznie spadały, ostatnio osiągając poziom 29 mln zł, czyli podobny jak w sezonie 2015/16. Mija niemal dekada, wszystko znacząco podrożało, a klub nie zarabia więcej.

Żarłoczne wydatki i koszty

Największy problem stanowią koszty i wydatki, przede wszystkim na pensje. Obecny prezes Piasta mówił w poprzednim tygodniu tak: – W pewnym momencie na wynagrodzenia dla piłkarzy klub wydawał 96 procent, a nawet... 103 procent przychodów. Potem piłkarzom obiecywano coś, czego nie dało się zrealizować. W efekcie wielu nie chciało i nie chce przedłużać wygasających kontraktów, więc klub na nich nie zarobi. W czerwcu zmagaliśmy się z zaległymi pensjami, premiami czy składkami na rzecz ZUS-u. Na klub nałożony jest nadzór komisji licencyjnej PZPN – poinformował na briefingu prasowym Łukasz Lewiński.

Sprawozdania finansowe Piasta za kolejne lata rozrachunkowe liczone od lipca do czerwca pokazują, że źle zaczęło się dziać właśnie po zdobyciu mistrzostwa Polski. Z zysku i nadwyżki budżetowej zrobiła się dziura, która najpierw wynosiła 6 mln zł, by w kolejnym roku wzrosnąć do 13, a obecnie mówi się o ponad 30. W efekcie listopadowa transza od Ekstraklasy została przeznaczona na wypłatę zaległości piłkarzom i sztabowi, a na ostatniej radzie miasta przegłosowano pożyczkę w wysokości kolejnych czterech milionów złotych. Zgodnie z zapowiedziami prezydent Gliwic Katarzyny Kuczyńskiej-Budki w grudniu miejscy radni będą głosowali za lub przeciw pożyczce w wysokości aż 14 milionów złotych.

ZYSK/STRATA NETTO PIASTA

(okres rozrachunkowy liczony od 1 lipca do 30 czerwca)
2015/16: + 0,6 mln zł
2016/17 : - 0,1 mln zł
2017/18: + 2,4 mln zł
2018/19: 0,0 mln zł
2019/20: + 9,7 mln zł
2020/21: +2,7 mln zł
2021/22: - 6 mln zł
2022/23: - 13,5 mln zł
2023/24: - 33 mln zł?

(opr. kris)

Papier wszystko przyjmie

Procent przychodów to jedno, ale kwoty wydawane na kontrakty to drugie. Widać to w zamieszczonej ramce. Piłkarze mają jednoosobowe działalności gospodarcze, więc kwot na ich wynagrodzenia w sprawozdaniach finansowych trzeba szukać w rubryce: „koszty działalności operacyjnej, w tym usługi obce". To, że sumy te rosły wraz z kolejnymi latami, nie dziwi, bo inflacja robi swoje, a piłkarze po prostu zarabiają więcej, zwłaszcza jeśli do klubu trafiali bardziej znani i z lepszych klubów. Problem jednak w tym, że latach 2018/19 koszty te wynosiły 31 mln zł, a po roku 2022 przekroczyły 40. Przy braku rosnących przychodów oznaczało to tylko powiększającą się dziurę i rosnące długi. Włodarze Piasta, w tym ówczesny prezes Grzegorz Bednarski oraz mniejszościowy akcjonariusz Zbigniew Kałuża, za punkt honoru postawili sobie utrzymanie wartościowego składu, który miał przynieść kolejne miejsca w czołówce ligi, być może nawet europejskie puchary. Ku zaskoczeniu wszystkich i pomimo ciekawych ofert zagranicznych lub rodzimych, nowe kontrakty przy Okrzei podpisali m.in. Jakub Czerwiński, Damian Kądzior, Michał Chrapek czy Frantiszek Plach. Kibice mogli się cieszyć, ale klubowa kasa mocno musiała to odczuć.

Zła polityka transferowa

Podsumowując: brak rosnących przychodów to jedno, coraz wyższe pensje to drugie, a trzecie to brak transferów wychodzących, czyli sprzedaży piłkarzy. Wspomniany prezes Żelem doskonale wiedział, że Piast musi zarabiać na sprzedaży, a że był dobrym negocjatorem, to udało mu się za duże – jak na gliwickie warunki – sprzedać Valencię, Dziczka czy Parzyszka. Od tamtej pory piłkarze jednak zostawali, a jak już odchodzili, to za darmo. W dodatku Piast ściągał piłkarzy, płacąc za ich transfery w setkach tysięcy euro, którzy okazywali się niewypałami, by wymienić tylko Rauno Sappinena (około 400 tys. euro) czy Kristophera Vidę (około 350 tys. euro). To wciąż nie wszystko, bowiem w środowisku piłkarskim dużo mówiło się o tym, że władze Piasta, chcąc przekonać danego piłkarza do wyboru Gliwic, przebijali oferty konkurencji. Tak prowadzona polityka transferowa w połączeniu z brakiem wyników i premii za miejsce w czołówce czy w europejskich pucharach, doprowadziła do katastrofalnej sytuacji. W dodatku Piast musiał za bezcen sprzedać tego lata Ariela Mosóra i Michaela Ameyawa, a po sezonie Arkadiusz Pyrka, na którym też można było zarobić, odejdzie za darmo.

Nietrafiony timing

Innym aspektem kłopotów jest postawa drużyny, która po dobrym początku ostatnio mocno rozczarowuje. Walka o ligowy byt na organizacyjnym pułapie to jedno, a walka na boisku to drugie. Czy jedno z drugim jest połączone? – W szatni za dużo o tym nie rozmawiamy. My możemy pomóc klubowi wynikami na boisku, reszta nie zależy od nas. Nie mamy nie wiadomo jak dużych obsuw w wypłatach, są inne problemy dookoła, ale bywało już gorzej niż teraz i jakoś sobie radziliśmy. Wierzę, że i tym razem damy radę. W polskiej piłce w wielu klubach mają podobne zmartwienia – przyznał w wywiadzie dla weszlo.com pomocnik Damian Kądzior.

Ciekawe światło na upublicznienie informacji o stanie finansów klubu rzucił trener gliwiczan, któremu mocno nie spodobało się, że zrobiono to tuż przed arcyważnymi derbami z Górnikiem. – Siedząc w klubie, wiem, że sytuacja nie jest idealna, ale chodzi też o pewien „timing". O to, w jakim momencie i w jaki sposób ujawnia się takie informacje. Nie wiem, komu to miało służyć. Delikatnie mówiąc, trudno wnioskować, żeby to była w jakikolwiek sposób pomocne drużynie czy mnie, który odpowiada za wynik. Jestem w Piaście już jakiś czas, kilka trudnych sytuacji przeżyłem, ale one zostawały wewnątrz, nie szły tak szeroko do opinii publicznej. Naprawdę byłem zaskoczony, że ktoś miał potrzebę o tym mówić – przyznał Aleksandar Vuković. Faktycznie, od czerwca tego roku mówiono o audycie i długach, a wszystko postanowiono upublicznić nie podczas przerwy reprezentacyjnej czy po zakończeniu jesiennego grania, ale na dwa dni przed meczem z Górnikiem i przed ostatnimi spotkaniami w tym roku, które mogą dużo dać Piastowi w walce o utrzymanie. Polityka w Gliwicach jednak odciska spore piętno na miejskim klubie, o czym jeszcze będziemy pisać, bo pytań o przeszłość, teraźniejszość, a zwłaszcza przyszłość jest całe mnóstwo...

(KRIS)

WYNAGRODZENIA I KOSZTY PIASTA

(okres rozrachunkowy od 1 lipca do 30 czerwca)
2015/16 (prezes Sarkowicz); koszty usług obcych: 17 mln zł; koszty łączne: 27,8 mln zł
2016/17 (prezesi Sarkowicz, Jaworski, Kwiatek); koszty usług obcych: 17,4 mln zł; koszty łączne: 29,4 mln zł
2017/18 (prezes Żelem); koszty usług obcych: 18,5 mln zł; koszty łączne: 28,9 mln zł
2018/19 (Żelem): koszty usług obcych: 21,2 mln zł; koszty łączne: 31 mln zł
2019/20 (Żelem): koszty usług obcych: 26,9 mln zł; koszty łączne: 38,2 mln zł
2020/21 (prezesi Żelem i Bednarski): koszty usług obcych: 27,1 mln zł; koszty łączne: 39,7 mln zł
2021/22 (Bednarski): koszty usług obcych: 27,5 mln zł; koszty łączne: 41,6 mln zł
2022/23 (Bednarski): koszty usług obcych: 29,2 mln zł; koszty łączne: 44,5 mln zł
2023/24 (prezesi Bednarski i Lewiński): czas na zatwierdzenie sprawozdania do 31 grudnia 2024 r.

Sport d013799584

Na zawsze z GieKSą

Wczoraj na wieczne boiska odszedł Jan Furtok, legendarny piłkarz GKS-u Katowice, 36-krotny reprezentant Polski, do czasów „Lewego” najskuteczniejszy Polak w Bundeslidze.

W 2015 roku Janek został zdiagnozowany. Rok wcześniej posłałam go do neurologa, bo już mi się nie podobał. Czułam, martwiłam się, że coś jest nie tak. Od razu dostał skierowanie do szpitala. Tam zrobiono kompleksowe badania. Już pierwsza diagnoza była dla mnie szokiem, mówiła o amnestycznym zespole Korsakowa. Ale jeszcze dawała nadzieję. W kolejnym etapie pojawił się wyrok – Alzheimer. Szczęściem w nieszczęściu Janek dostał się w odpowiednie ręce, wdrożono odpowiednie leczenie, zaordynowano właściwe lekarstwa. Janka leczy profesor, bardzo dobry człowiek i lekarz. Dodawał otuchy, ale i nie owijał w bawełnę. Na chorobę Janka nie ma dziś lekarstwa, od razu mi to w klinice powiedziano. Nie ma, a może nigdy nie będzie.... – tak na potrzeby biografii Jana Furtoka, którą niżej podpisany pisze z redaktorem Dariuszem Leśnikowskim, opowiadała żona Anna Furtok. Cudowna kobieta, która opiekowała się mężem z wielkim oddaniem do końca.



Fot. Rafał Rusek/PressFocus

Najsłynniejsza „9” GieKSy.

Najlepszy w historii

Niestety, Janek nie doczekał publikacji książki, która miała ukazać się w czasie zbiegającym się z pierwszym meczem jego ukochanej GieKSy po przeprowadzce z Bukowej na nowy stadion. Zmarł we wtorek po długiej walce z chorobą w wieku 62 lat. Jego sportowy życiorys w Polsce nierozerwalnie wiąże się z GKS-em Katowice, którego jest najlepszym strzelcem. W barwach katowickiej drużyny grał w latach 1979-1988 oraz 1996-1997. W 299 spotkaniach zdobył 122 gole. Przez katowickich kibiców został uznany za najlepszego zawodnika w historii klubu, a jego numer „9”, z którym grał w Katowicach, zawsze będzie należał do niego, gdyż został zastrzeżony i przypisany „Furgołowi”.

Furtok zawsze ubolewał nad faktem, że nie udało mu się z GieKSą wywalczyć mistrzowskiego tytułu ani jako zawodnik, ani później jako trener pierwszego zespołu, ani dyrektor sportowy klubu czy jego prezes. Zdobył za to GKS-em, po słynnym zwycięstwie w 1986 roku na Stadionie Śląskim nad wówczas najmocniejszym w kraju Górnikiem Zabrze, Puchar Polski. Do tego dołożył wicemistrzostwo kraju oraz brązowy medal. W reprezentacji narodowej rozegrał 36 spotkań, strzelił 10 bramek. Wystąpił w mistrzostwach świata w Meksyku (1986), grał w niemieckich drużynach – Eintrachcie Frankfurt i HSV Hamburg. Do czasów Roberta Lewandowskiego nie było skuteczniejszego Polaka w Bundeslidze. Jego dorobek to 60 bramek w 188 meczach. W 2019 roku Furtok został uhonorowany przez PZPN, który z okazji swojego 100-lecia umieścił rodowitego katowiczanina wśród stu najwybitniejszych reprezentantów Polski.

Rodzinna reprezentacja

Gdy tylko pojawiła się myśl o spisaniu biografii, siedliśmy z Jankiem i zaczęliśmy odtwarzać jego trudne dzieciństwo, śmierć ojca – nigdy go nie poznał – po wypadku na kopalni Boże Dary, zbieranie węgla i złomu na hałdach. Pierwsze kroki w klubie z Kostuchny, potem grę w GieKSie aż do szczytowych momentów w Bundeslidze i reprezentacji Polski. Opowiadał historię swojego życia i nie przeczuwaliśmy, że dalszy ciąg pisany będzie na podstawie opowieści żony, dzieci, rodzeństwa, bliskich, kolegów z boiska, przyjaciół. A tych wokół Janka zawsze było mnóstwo, bo był człowiekiem spokojnym, bogobojnym, takim, który nigdy nikomu nie zaszedł za skórę.

Jego biografia nie może nie mieć piłki w tle, skoro w tej śląskiej rodzinie mężczyźni grali w fusbal. Grywali wszyscy Furtokowie, a także spokrewnione z nimi rody Muszalików i Nikodemów! Najstarszy, Stefan, był obrońcą, młodszy Bolek pomocnikiem, Janek napastnikiem. I tak brat obok brata, syn z kuzynami, bratankowie z siostrzeńcami. Na Kostuchnie odbył się nawet kiedyś taki mecz, gdy jedenastka składała się z samych Furtoków, Muszalików i Nikodemów. A gdy cała rodzinka w Studzienicach na sylwestrze u najstarszego z braci, Stefana, się spotykała, to w Nowy Rok nie było „zmiłuj”. Wszyscy rankiem oblekali się na sportowo i ruszali gonić za piłką. No bo skoro Cracovia mogła, to Furtoki też mogli. I co ciekawe, zaczynali rozgrywać swój mecz jeszcze wcześniej niż „Pasy”!

Skazany na piłkę

Zapoznajmy się zatem z wybranymi fragmentami opowieści Jana Furtoka.

– Urodziłem się jako ostatni w bardzo licznej rodzinie. Mama miała problemy w trakcie ciąży, lekarze obawiali się, czy urodzę się zdrowy. Przed rozwiązaniem konieczna okazała się transfuzja, bo był to moment, że mogłem się w ogóle nie urodzić. Śmialiśmy się potem w domu, że dostałem krew od jakiegoś sportowca, zapewne piłkarza. Ojca nie znałem. Straciłem go, gdy miałem pół roku, więc od początku życia sam musiałem sobie radzić.

Tata Konrad miał wypadek na kopalni. Obrywająca się ze stropu łata węglowa trafiła go w głowę. Zakładowy lekarz, nie chcąc kłopotów dla kopalni, stwierdził, że... Furtok udaje. Lecz ból głowy nasilał się z każdym dniem. Ojciec strasznie jęczał z bólu. Gdy w końcu trafił do szpitala, było już za późno. Umarł w październiku, nigdy najmłodszego syna nie widząc. Matka nie dostała żadnych pieniędzy, żadnego odszkodowania, bo wypadek na kopalni nie został zgłoszony.

Ale dawaliśmy radę. Jeden przy drugim się wychowywał, potem najstarsi już na kopalni pracowali. Na podwórku graliśmy między sobą, a ja od dziecka lubiłem bramki strzelać, grać z przodu, w ataku. Miałem ośmioro rodzeństwa, czterech braci też grało w piłkę, więc ja po prostu byłem skazany na piłkę. Do MK Katowice przyjmowali od 12 lat, więc siedziałem cichutko, nikomu nie zdradzając, ile naprawdę mam lat, a miałem 10. W zapisaniu się do klubu pomogli mi kuzyni i koledzy. Byłem bardzo mały, ale już w trampkarzach było widać, że mam smykałkę do piłki.

Kamień z serca po porażce

– Do GKS-u ściągnął mnie Heniek Loska, który też z Kostuchny pochodził. Znał ludzi z Katowic, więc powiedział – chodź, jedziemy. Pojechaliśmy po południu, trener mnie przyjął i tak dzięki Heńkowi znalazłem się w GieKSie. Do Katowic dziennie z Kostuchny dojeżdżałem. Uczyłem się w technikum w Chorzowie-Batorym. Do klasy w „Wilusiem” Bąkiem chodziłem, razem z nim graliśmy w reprezentacji Polski juniorów.

W reprezentacji Polski występowałem już jako 15-latek. W lidze zadebiutowałem w wieku 18 lat w meczu z ŁKS-em Łódź. Przed spotkaniem trener Joachim Szołtysek powiedział do mnie: „Zapamiętaj, młody, kto cię do ligi wprowadził”. Wyszedłem w podstawowym składzie, grałem do 75 minuty. Za zwycięstwo w tym meczu mieliśmy obiecane pięć tysięcy złotych premii. Dla mnie, nieopierzonego debiutanta, była to wtedy astronomiczna kwota. Dlatego już w trakcie meczu zastanawiałem się, co z taką kasą zrobię? Myślałem, że muszę ją gdzieś schować. Ostatecznie przegraliśmy 1:2, a ja... odetchnąłem z ulgą. Kamień z serca mi spadł (śmiech).

Pieniądze na książeczkę

– Kiedyś w GKS-ie były dwie szatnie, osobno przebierali się starsi, osobno młodzi. Chcąc wejść do szatni starszych, trzeba było zapukać i czekać na „proszę wejść”. Jak nie było zgody, to trzeba było wracać. W kadrze Polski też musiałem na początku starszym buty nosić. Byłem 10 lat młodszy, więc oczywiście się nie buntowałem. Hierarchia musiała być zachowana. Po debiucie wiele się nie nagrałem w ekstraklasie, bo spadliśmy, ale już wtedy miałem pewne miejsce w składzie, grałem cały czas do awansu po dwóch latach.

Pierwsze zarobione pieniądze wędrowały na książeczkę oszczędnościową. Tak wtedy było. Pilnowali tego bardzo i kontrolowali nas młodych trenerzy Władysław Żmuda i Jacek Góralczyk. To oni decydowali, a ja nie wiedziałem, co zrobić, bo chciałem tę kasę po prostu zgarnąć dla siebie. Skłamałem więc, żeby ją wypłacić, powiedziałem, że muszę sobie wersalkę sprowadzić do domu i jeszcze kilka rzeczy, których mi brakowało. Fortel się udał, trenerzy się zgodzili, a ja niczego sobie nie kupiłem, tylko przepuściłem kasę (śmiech). Między innymi zaprosiłem chłopaków do Hotelu Warszawa, bo to dawało mi przepustkę, by móc przebywać w ich towarzystwie.

Dom i rondo za podpis

– GKS był wtedy klubem poukładanym. Byliśmy zatrudnieni na kopalni, kopalnie nam płaciły, wypłaty były na czas. Wtedy prezesem GKS-u był Bronisław Lisiecki, ale rządził Marian Dziurowicz. Miałem 22 lata, to był najlepszy do tego momentu okres w mojej karierze. Byłem na fali, więc „startowały” do mnie Górnik Zabrze i Legia Warszawa. Działacze obu klubów jeździli za mną, więc pamiętam, że „Dziura” schował mnie w Wiśle z Piotrkiem Nazimkiem i Mirosławem Kubisztalem z Cracovii.

Miałem wtedy kontuzję więzadła pobocznego, nogę w gipsie, ale Górnik bardzo naciskał. Podanie do Katowic o zwolnienie z klubu było już napisane. Pamiętam, że gdy się o tym dowiedział trener Zdzisław Podedworny, to bardzo się wściekł. Złapał mnie za gardło, przydusił do ściany i krzyczał: – To ja tu (w Katowicach – przyp. red.), kurwa, buduję nową silną drużynę, a ty chcesz stąd spier... ?

Z jeszcze „ciepłym” gipsem spotkałem się też z prezesem Dziurowiczem. – Co chcesz? – zapytał „Magnat”. – Mieszkanie? Już raz ci je załatwiłem. Teraz, kur..., to ja ci dom wybuduję na rondzie w Kostuchnie – krzyczał. – Kiedy w Kostuchnie... nie ma ronda – zebrałem się na odwagę i odpowiedziałem, a „Dziura” na to: – Cooo? Ronda nie ma?! To kur... i rondo tam dla ciebie wybuduję!

Ostatecznie prezes ani ronda nie wybudował, ani domu mi nie postawił, a Górnika, gdzie piłkarze dużo więcej zarabiali niż w Katowicach i tak nie był w stanie przebić, bo w Zabrzu rządził najsilniejszy, najpotężniejszy wówczas polityk na Górnym Śląsku, minister górnictwa Jan Szlachta. Ale dla mnie to nie miało znaczenia. Zadecydował sentyment do GKS-u i zostałem na Bukowej. Na Roosevelta kibice Górnika nigdy mi tego nie wybaczyli.

* * *

Ostatnie pożegnanie Jana Furtoka odbędzie się w piątek, 29 listopada, o godzinie 9 w Parafii Trójcy Przenajświętszej w Katowicach-Kostuchnie.

Zbigniew Cieńciała

Sport d013799584

Mecz podwójnie wyjątkowy

Wszystko wskazuje na to, że spotkanie z Lechią będzie ostatnim dla męskiej sekcji GKS-u na obiekcie przy Bukowej.

GKS KATOWICE

Śmierć Jana Furtoka wywołała smutek w całym GieKSiarskim środowisku. Największa legenda katowickiego klubu, która nie tylko była fantastycznym piłkarzem, ale także trenerem, prezesem i kibicem, w ogromnym stopniu wpłynęła na historię GieKSy. Z tego powodu numer „9", z którym występował ten znakomity napastnik, został zastrzeżony przez władze GKS-u już lata temu. „Jego status legendy jest niepodważalny, jednak nasz „Jasiu" nigdy nie domagał się specjalnego traktowania. Miał GieKSę w sercu i na przestrzeni wielu lat reprezentował zarówno barwy klubu, jak i całe Katowice. - Nie myślę w takich kategoriach o sobie. Jestem normalnym człowiekiem. O tym wszystkim decydują i osądzają ludzie. Ja po prostu wykonywałem swoją pracę – podkreślał" – napisano na stronie internetowej klubu, w treści informacji o śmierci Jana Furtoka.

Tym samym najbliższe spotkanie z Lechią Gdańsk piłkarze GKS-u Katowice dedykować będą temu legendarnemu napastnikowi, który dla klubu zagrał 299 spotkań, w których zdobył 122 gole. Był wicemistrzem Polski i zdobył z GieKSą Puchar Polski. Zawodnicy Rafała Góraka zrobią wszystko, żeby godnie pożegnać najlepszego piłkarza katowickiego klubu w historii. Żeby tak się stało, ekipa z Górnego Śląska musi podnieść się po porażce z liderem z Poznania. Musi pokazać, że nie najgorsza lokata w tabeli nie jest dziełem przypadku. Lechia, która także jest beniaminkiem, znajduje się w strefie spadkowej. GKS musi potwierdzić, że znacząco lepiej radzi sobie w najwyższej klasie rozgrywkowej od gdańszczan, którzy przyjadą do Katowic świeżo po zwolnieniu trenera Szymona Grabowskiego.



Fot. PressFocus

Nieuchronnie nadchodzi moment przeprowadzki GieKSy.

Poza tym, że spotkanie będzie dedykowane Janowi Furtokowi, mecz będzie też wyjątkowy z powodu miejsca jego odbywania. Istnieje spore prawdopodobieństwo, że będzie to ostatnia rywalizacja męskiej sekcji GKS-u Katowice na stadionie przy Bukowej. Jak zapowiadano jeszcze kilka miesięcy temu, nowy stadion przy Nowej Bukowej ma zostać otwarty wraz z rozpoczęciem zmagań wiosennych. Tak się składa, że starcie z Lechią będzie ostatnim jesienią, które GKS rozegra na własnym stadionie. Na razie wiadome jest, że cyklicznie na nowym obiekcie testowane jest oświetlenie oraz nagłośnienie. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, a procedura odbiorów nie będzie szczególnie skomplikowana, przeprowadzka na Nową Bukową nie zostanie opóźniona.

Tym samym motywacja dla katowiczan jest podwójna. Po pierwsze będą chcieli godnie pożegnać klubową legendę, a po drugie będą chcieli dobrze zakończyć długoletnią, trwającą od powstania klubu w 1964 roku, historię stadionu. Arena była świadkiem sukcesów, meczów w europejskich pucharach, zdobytych medali. Powoli i nieuchronnie GKS zmierza ku przeprowadzce na nowy teren. „Last dance" z Lechią Gdańsk ma być futbolowym świętem, które zakończy się szóstym zwycięstwem w sezonie. Dla kibiców z Katowic inny scenariusz jest wykluczony.

Kacper Janoszka

Cel to 30 punktów

Rozmowa z **Rafałem Janickim**, środkowym obrońcą Górnika Zabrze

Za wami mecz z Piastem i chyba kamień z serca, że w końcówce udało się zdobyć bramkę i wygrać?

– Byliśmy w tym spotkaniu zespołem dużo lepszym niż rywale. Przy tylu okazjach, przy tylu sytuacjach powinniśmy ten mecz zamknąć już w pierwszej połowie. W ciągu całego spotkania Piast nie bardzo nam zagroził. Szkoda, że szybciej nie zamykamy meczu, bo to się powtarza w którejś kolejnej grze, że mamy te okazje, a ich nie wykorzystujemy. To tylko znak, że jeszcze bardziej trzeba pracować na treningach, żeby te sytuacje zamieniać na bramki.

Czy w końcówce przy wyniku 0:0 było nerwowo?

– W meczu z Piastem każdy, który był na boisku, to czuł, że jesteśmy w końcu w stanie strzelić gola i ta nasza przewaga zostanie potwierdzona. Wynikała ona z tego, że rywal bronił się bardzo nisko, przed polem karnym. Kwestią czasu było, kiedy zdobędziemy bramkę, ale minuty mijały i nic nie chciało wpaść. Na szczęście wszedł „Olo" (Paweł Olkowski – przyp. red.), zagrał dobrą piłkę i nasz „Furu" (Josuke Furukawa – przyp. red.) trafił do siatki.

W drugiej połowie z Piastem mieliście już trudniej. Z czego to wynikało?

– Do przerwy Piast dość mocno się cofnął, nie wiem, z czego to wynikało. Może się nas przestraszyli, nie wiem. Ciężko tę piłkę było gdzieś tam do tego pola karnego dostarczyć. Nawet jednak jak bronili nisko, to te sytuacje z naszej strony były.

Za wami kolejne czyste konto w tyłach. Szefa obrony musi to chyba cieszyć?

– Na pewno fajne zwycięstwo, na zero z tyłu i oby tak jak najdłużej.

Często mówi się o waszej murawie. Jak było pod tym względem w derbach?

– Jak na nasze boisko to z naszej strony ta gra wyglądała naprawdę dobrze. Graliśmy dużo piłką, tworzyliśmy sobie sytuacje – szczególnie w pierwszej połowie. Myślę, że ta pierwsza połowa wyglądała tak, jakby trener od nas w każdym spotkaniu wymagał, żeby wyglądała. Była i kontrola z tyłu, i szybka gra z pierwszych piłek, i sytuacje pod bramką przeciwnika. Szkoda, że skończyło się tylko 1:0, bo powinno być wyżej. A co do boiska, to tutaj u nas jest naprawdę grząsko. Mamy porównanie, jak trenujemy na naszym bocznym boisku, a potem wejdziemy na główne, to dwa centymetry człowiek się zapada, chodzi się jak po gąbce. Nie wiem, buduje się nowa trybuna i może ludzie, którzy tutaj w Zabrzu zarządzają, postarają się o wymianę murawy, bo nie jest ona najlepsza w lidze. W Łodzi czy we Wrocławiu ostatnio grało się dużo lepiej. Zresztą, powiem na moim przykładzie, przy moich blisko 90 kilogramach nie jest przyjemnie biegać po takim boisku.



Fot. Marcin Bulanda/PressFocus

Rafał Janicki jako szef obrony Górnika ma powody do zadowolenia.

Dobrze wygląda wasza gra w środku pola.

- „Rasi" (Damian Rasak – przyp. red) i Patryk Hellebrand wykonują dobrą robotę. Teraz też przełożyło się to na boisko, bo Piast nie miał w zasadzie sytuacji.

Pomaga wam też ławka, prawda?

– Jest ona jakościowa, a widać to choćby po tym, jacy zawodnicy wchodzą na boisko. Jest Lukas Podolski, są inni, jak Furukawa czy Olkowski, zmieniliśmy skrzydła. W drugiej połowie trener zauważył, że nie stwarzamy już tak wiele okazji, wpuścił trochę świeżej krwi i przyniosło to efekt w postaci zwycięskiej bramki. Napieraliśmy, znaleźliśmy lukę, no i jest ważna wygrana.

Macie 24 punkty. Można powiedzieć, że zima w Górniku będzie spokojna?

– Nie. Chciałbym na koniec tego roku, żeby na naszym koncie było 30 punktów. Celujemy w taką zdobycz. Mamy przecież dobrą serię i trzeba ją jak najdłużej podtrzymać. Tak do tego trzeba podchodzić. Jedziemy teraz do Kielc na trudny teren i mecz, bo tam się zawsze ciężko gra, ale jedziemy tam po trzy punkty.

Cztery ligowe wygrane w pięciu kolejnych grach – skąd ta świetna seria? Tym, że wszystko się zgrało, zatrybiło?

– Mogło być jeszcze lepiej, bo przecież gdyby nie nasze błędy z Jagiellonią, to może byśmy tego meczu nie przegrali i byłby na przykład remis. Idzie to wszystko w dobrym kierunku, a pokazał to nawet ten przegrany mecz z mistrzem Polski. Jako zespół dobrze pracujemy, dobrze funkcjonujemy i kiedy jako drużyna dobrze bronimy, to z przodu zawsze coś się stworzy i strzeli.

Rozmawiał Michał Zichlarz

364

TYLE meczów w ekstraklasie rozegrał już Rafał Janicki. Daje mu to, razem z byłym świetnym reprezentantem Polski, medalistą MŚ Markiem Dziubą i innym obrońcą Maciejem Sadlokiem, 22. miejsce w „Klubie 300", a więc ligowych piłkarzy, którzy rozegrali w lidze co najmniej 300 gier. Do miejsca w TOP20 Janickiemu brakuje już tylko czterech meczów. Na pozycji nr 20 jest legendarny Lucjan Brychczy (368), a tuż za nim Hieronim Barczak (367). Stawce przewodzi Łukasz Surma, który w polskiej ekstraklasie rozegrał aż 559 spotkań.

Sport d013799584

Pięć żabich skoków

Oto niecodzienne wyzwanie: mistrz Polski staje przed bardzo trudną przeprawą logistyczną.

JAGIELLONIA BIAŁYSTOK

Drużyna Adriana Siemieńca w dwa tygodnie ma zagrać pięć meczów poza Białymstokiem! Trzeba więc wszystko dokładnie zaplanować: transport, treningi, odpoczynek, regenerację. Zadanie nie wydaje się łatwe, ale szczerze mówiąc – czy może być dla piłkarzy i ich kibiców coś przyjemniejszego niż takie problemy? To działacze muszą się tym razem napocić…

Raz, dwa, trzy, cztery, pięć

Pięć żabich skoków prezentuje się następująco:

– pierwszy do Słowenii; w środę drużyna leci na mecz Ligi Konferencji z NK Celje (czwartek, 28 listopada, 18.45), mecz zapowiada się ekscytująco,

– drugi do Szczecina; bezpośrednio po meczu zespół przenosi się na Pomorze Zachodnie i tam zagra w lidze z rozpędzoną Pogonią (niedziela, 1 grudnia, 14.45),

– trzeci do Grudziądza; ze Szczecina piłkarze wrócą do siebie, ale czasu starczy ledwie na odetchnięcie, bo czas na trzecie rozgrywki, czyli mecz z Olimpią w 1/8 finału Pucharu Polski (czwartek, 5 grudnia, 14.45),

– czwarty do Krakowa; szybkie przepakowanie i znów trzeba powalczyć o ligowe punkty, tym razem z Puszczą Niepołomice (niedziela, 8 grudnia, 14.45),

– i wreszcie piąty skok do miejscowości Mlada Boleslav; na zakończenie maratonu białostoczanie zagrają w Lidze Konferencji z Czechami (czwartek, 12 grudnia, 21.00).

A to nie koniec

Jeśli komuś wydaje się, że to takie hop-siup, przytoczmy słowa Adriana Siemieńca. – Jako przykład podam nasz wyjazd do Chojnic na mecz w poprzedniej rundzie Pucharu Polski. Znamy drogę, analizujemy czy lepszy będzie autokar czy pociąg. W tym drugim przypadku musielibyśmy jednak dołożyć przesiadki. Dlatego wychodzi nam, że lepszym rozwiązaniem jest autokar i wtedy pojawia się kolejny problem. Okazuje się, że na miejscu nie ma boiska z oświetleniem, chcieliśmy, żeby zawodnicy trenowali po podróży. Ostatecznie dzień przed spotkaniem z Chojniczanką nie trenowaliśmy w ogóle, poza… lekkim rozruchem w hotelu – opowiadał trener.

Żeby było jasne: po piątym skoku zakończą się wprawdzie podróże, ale... jeszcze nie mecze! 19 grudnia Jagiellonia zamknie fazę zasadniczą Ligi Konferencji domowym spotkaniem z Olimpiją Lublana. Nie jest przesądzone, że wówczas będzie ze Słoweńcami walczyła o miejsce w czołowej ósemce, co oznaczałoby bezpośredni awans do 1/8 finału rozgrywek (miejsca 9.- 24. zagrają w 1/16 finału). Wniosek z tego taki, że nieważnych meczów po prostu nie ma.

Będzie ciężko

Trzeba koniecznie zaznaczyć, że najbliższy wyjazdowy mecz – przypomnijmy, że w Słowenii – zapowiada się frapująco. Celje, z którym „Jadze" przyjdzie zmierzyć się w czwartek, do tej pory zdobyło w Lidze Konferencji trzy punkty (pokonując u siebie 5:1 turecki Basaksehir z Krzysztofem Piątkiem w składzie oraz przegrywając na wyjazdach z Vitorią Guimaraes 1:3 i z Betisem Sevilla 1:2). Uwagę zwraca jednak bardzo dobra postawa podopiecznych Alberta Riery przed własną publicznością. Ten trener chce z Celje powtórzyć to, czego dokonał w sezonie 2022/23, prowadząc Olimpiję Lublana: zdobyć zarówno mistrzostwo, jak i krajowy puchar.

Sprawdziło się!

Na zakończenie, żeby nie czuć zmęczenia samą lekturą o trudach – opowieść Janusza Kowalskiego, szkoleniowca Gwarka Zabrze, którego trener Siemieniec był słuchaczem podczas studiów na katowickiej AWF. – Adrian Siemieniec to mój wychowanek – opowiada Kowalski. – Mam z nim ciągły kontakt, piszemy do siebie. Kiedy był studentem, widziałem, że ma potencjał. Zapytałem go, co chce robić w dorosłym życiu. „Być ekstraklasowym trenerem" – odparł bez wahania. Przygotowywałem go, że nie będzie łatwo, bo nie ma za sobą doświadczenia jako piłkarz, więc szanse na taki angaż są małe. „Trenerze, ale ja bardzo chcę, bardzo!" – odpowiedział mi wtedy. Sprawdziło się!

(pacz)



Fot. Michał Kosc/PressFocus

Czy trener Adrian Siemieniec i jego Jagiellonia dadzą sobie radę w najbliższych dniach?



Fot. Krzysztof Porębski/PressFocus

Mateusz Żyro (nr 4) może mieć po poniedziałkowym meczu uzasadnione pretensje do sędziów…

Dryfują na skały

Widzew niebezpiecznie zmierza w stronę rafy, która na futbolowych mapach oznaczona jest jako „ligowa przeciętność".

WIDZEW ŁÓDŹ

Nawigatorom nie udaje się ustabilizować kursu: po udanym i zwycięskim meczu z Zagłębiem przyszła przegrana w kiepskim stylu z Puszczą, a wygrać dwa mecze po kolei udało się w tym sezonie Widzewowi tylko raz i to jeszcze w sierpniu…

Ostre uwagi szkoleniowca

Trener Widzewa Daniel Myśliwiec to widzi, ale nie jest w stanie zatrzymać tego niepokojącego dryfu. – Ten mecz nie miał prawa tak się potoczyć – mówił wzburzony po poniedziałkowym meczu w Krakowie z Puszczą (0:2). – Najważniejsza w takich spotkaniach jest kontrola, przede wszystkim swoich emocji oraz zachowań. Mecz kompletnie wymknął się nam spod kontroli i trudno było go oglądać. Nie chciałbym więcej widzieć u swojej drużyny takiej dyspozycji i mam nadzieję, że to ostatni raz, gdy to się stało.

Widzew zaczął elegancko, spokojnie, wręcz statecznie. Trzy szanse bramkowe na początku utwierdziły piłkarzy tej drużyny, że nic złego nie może im się stać. Rywal nie zamierzał się jednak do takiego stylu dostosować – grał z większą dynamiką, zawadiacko. I wtedy właśnie zabrakło tej kontroli, o której po spotkaniu mówił trener. No i liczbowa dokumentacja meczu wykazała, że piłkarze Puszczy przebiegli trzy kilometry więcej niż grający na stojąco widzewiacy.

Mecz numer 50 w ekstraklasie w swojej historii (od spotkania z Widzewem 2:3 w lipcu ubiegłego roku) Puszcza wygrała i choć bilans ogólny ma ujemny (12 zwycięstw, 18 remisów i 20 porażek), to akurat z Widzewem zespół z Niepołomic jest na plusie: dwa zwycięstwa, remis i porażka. To czwarty cenny skalp w tym sezonie w prestiżowych meczach, po pokonaniu Lecha oraz remisach z Legią i Górnikiem.

Auty siały spustoszenie

Puszcza grała z czterema zmianami w składzie (bez Craciuna, Jakuby, Mrozińskiego i Cholewiaka) w porównaniu z poprzednim meczem, Widzew z jedną korektą (Marcel Krajewski za Kastratiego). 20-latek był najpewniejszym punktem łódzkiej defensywy, ale jeszcze bardziej przydał się na boisku obrońca niepołomickiego zespołu Dawid Abramowicz, który wrócił po kartkach. Po jego „dośrodkowaniach" ręką po wrzutach z autu piłka wpadała jak granat w tłok pod bramką, siejąc zamieszanie, a instynktownie wystawiona noga przy innej okazji zaskoczyła Rafała Gikiewicza i pozwoliła Puszczy objąć prowadzenie. W zespole Puszczy była jeszcze jedna zmiana, która wpływu na wynik nie miała, ale trzeba ją odnotować. Po roku i trzech tygodniach leczenia wrócił do gry Rok (nomen omen) Kidricz, napastnik ze Słowenii, który w znacznym stopniu przyczynił się w sezonie 2022/23 do awansu niepołomiczan do ekstraklasy. Teraz zagrał tylko pięć minut, ale na pewno wkrótce przypomni, jak strzelał gole.

Znowu ten VAR…

To oczywiste, że po takich decyzjach sędziego na Widzewie nie lubią chwilowo VAR-u. Tym razem wszystkie były niekorzystne: nieuznany gol i nieprzyznany rzut karny dla Widzewa (VAR nie dostrzegł, czy Mateusz Żyro był faulowany), karny dla Puszczy (po faulu Żyry ze znakiem zapytania) i wreszcie czerwona kartka dla kapitana Widzewa. Opinii na ten temat jak zwykle jest tyle, co oglądających, ale najbardziej prześladowany przez arbitra Żyro, inni zawodnicy, trenerzy i kibice chętnie wysłuchaliby zdania sędziowskich autorytetów na temat piłkarskiej podwójnej moralności i takiej interpretacji przepisów, która za świadome złapanie uciekającego zawodnika wpół i obalenie go rzutem zapaśniczym na ziemię daje tylko żółtą kartkę (Jakub Serafin), nazywając to „faulem taktycznym", a za faule wynikające z walki o piłkę, których było tym razem wyjątkowo dużo (po 16 z obu stron), każe wyrzucać z boiska. Żyrze w całym meczu sędzia odgwizdał dwa przewinienia, a na przykład wspomnianemu Serafinowi czy Jakovowi Blagaiciowi z Puszczy po cztery.

Gdyby w piłce nożnej obowiązywały takie zwyczaje, jak w hokeju, sędzia Marcin Szczerbowicz musiałby postawić swoim kolegom z ekipy piwo do kolacji. W pewnym momencie potknął się i upadł na murawę. Nie wypuścił jednak gwizdka, zachował zimną krew, błyskawicznie poderwał się, nie tracąc kontroli nad wydarzeniami. Ewentualne piwo dla Żyry w ramach przeprosin nie załatwiłoby jednak sprawy…

Wojciech Filipiak

Sport d013799584

Ściana z Bułgarskiej

Bartosz Mrozek po raz dziewiąty w tym sezonie zachował czyste konto.

LECH POZNAŃ

Lider ekstraklasy nie zwalnia tempa i ani myśli oddawać fotela któremuś z konkurentów. Ostatni, zwycięski mecz GKS-em Katowice (2:0) był szczególny dla bramkarza „Lechitów", Bartosza Mrozka. Wychowanek Polonii Łaziska Górne w sobotni wieczór rozegrał 50. mecz w zespole z Bułgarskiej.

24-letni obecnie golkiper do Lecha trafił w 2014 roku i najpierw przechodził przez juniorskie szczeble akademii „Kolejorza", by w końcu trafić do pierwszego zespołu. Zanim jednak na dobre znalazł się w drużynie seniorów, był wypożyczany kolejno do Elany Toruń (12 meczów w II lidze), GKS-u Katowice (63 mecze w II lidze) oraz Stali Mielec (36 spotkań w ekstraklasie). Na stałe wskoczył między słupki „Niebiesko-białych" w sezonie 2023/24.

Ostatni mecz z beniaminkiem z Katowic był dziewiątym w bieżących rozgrywkach, w którym bramkarz Lecha ani razu nie wyciągał futbolówki z siatki. – Cieszę się, że kilka meczów na zero z tyłu już zagraliśmy, widać pod tym kątem duży progres w porównaniu do zeszłego sezonu – powiedział Bartosz Mrozek. To drugi najlepszy wynik w PKO BP Ekstraklasie, lepszy pod tym względem jest 21-letni Kacper Trelowski, który już 10 (!) razy zachował czyste konto.

Imponująca seria

W sierpniu i wrześniu golkiper Lecha mógł pochwalić się serią 567 minut bez straty bramki, nie dając się zaskoczyć aż sześciu kolejnym ligowym rywalom (Rakowowi, Zagłębiu Lubin, Pogoni Szczecin, Stali Mielec, Jagiellonii Białystok i Śląskowi Wrocław). Imponującą passę bramkarza „Kolejorza" przerwała dopiero 29 września Korona Kielce, ale zespół trenera Nielsa Frederiksena pokonał ją 3:2. W kolejnych tygodniach Lech zachował czyste konto w wyjazdowym spotkaniu z najskuteczniejszą w ekstraklasie Cracovią (2:0), ale od tego momentu przyszły trzy spotkania, w których przeciwnicy znajdowali sposób na jego defensywę. Po wznowieniu rywalizacji o punkty po przerwie na mecze reprezentacji drużyna ze stolicy Wielkopolski nie tylko cieszyła się z wygranej nad GKS-em Katowice, ale i z wyczekiwanego zera z tyłu. – To fajne uczucie, tym bardziej że chwilę na to wszyscy czekaliśmy – przyznał golkiper lidera ekstraklasy. – W sobotę nie wyglądało to też tak, że GKS czekał tylko na okazje do kontrataków i nie było roboty w obronie. Czujność i pełną koncentrację zachowywaliśmy wszyscy do ostatniego gwizdka.

Bodziec do pracy

Przed spotkaniem z beniaminkiem z Katowic Mrozek przebywał na swoim trzecim zgrupowaniu reprezentacji Polski. Jak sam podkreśla, każde tego typu wyróżnienie to bodziec nie tylko do jeszcze bardziej wytężonej pracy na treningach, ale i swego rodzaju presja, by dowodzić sportowej klasy przy okazji każdego kolejnego meczu. – Chcę pokazywać swoją jakość i w dalszym ciągu potwierdzać, że zasłużyłem na wcześniejsze powołania i pracować na kolejne – przyznał utalentowany bramkarz. – Mnie to motywuje. Kadra to oczywiście piękna sprawa i wielka piłka, ale od chwili, kiedy wróciłem ze zgrupowania, nie mogłem doczekać się sobotniego meczu z GKS-em Katowice.

Bogdan Nather



Fot. Krzysztof Porębski/PressFocus

Bramkarz Lecha Poznań „wykręca" coraz lepsze statystyki.



Fot. Ernest Kołodziej/miedzlegnica.eu

Bramkarz Miedzi Jakub Wrąbel po poniedziałkowym meczu starał się szukać pozytywów.

Mieszane uczucia

Drużyna Ireneusza Mamrota w domowym meczu z Wisłą Płock zdobyła tylko punkt.

MIEDŹ LEGNICA

Remis 2:2 z „Nafciarzami" sprawił, że drużyna Ireneusza Mamrota po 17. kolejce Betclic 1. Ligi straciła fotel wicelidera na rzecz Arki Gdynia. „Miedzianka" ma wprawdzie jeszcze zaległy mecz z Wisłą Kraków, ale to zapewne będzie pojedynek z gatunku „na dwoje babka wróżyła".

Zabrakło szczęścia

– Na pewno jesteśmy trochę zawiedzeni, bo liczyliśmy na trzy punkty, żeby umocnić się na drugiej pozycji – powiedział bramkarz „Zielono-niebiesko-czerwonych", Jakub Wrąbel. – Ale mimo wszystko trzeba ten remis szanować, bo w walce o awans każdy punkt może być ważny, czy to z drużyną z góry, czy z dołu. Dlatego szanujemy remis z Wisłą, lecz spodziewamy się, że w kolejnym pojedynku, z GKS-em Tychy, zdobędziemy trzy punkty. Czy mogłem zrobić coś więcej przy straconych bramkach? – zastanawia się 28-letni golkiper. – Przy pierwszym golu miałem małe szanse na skuteczną interwencję, ponieważ dostałem piłkę powrotną i w dodatku lekkiego loba, więc trudno było sięgnąć. Natomiast przy drugiej na pewno zabrakło mi trochę szczęścia, bo przede mną stało kilku zawodników i nie widziałem piłki. W ostatniej chwili wyciągnąłem rękę i nogę, ale akurat tak się odbijała, że mnie minęła. Na pewno cieszę się, że w kilku przypadkach miałem okazję się wykazać i wywiązać ze swoich obowiązków. Z jednej strony cieszę się zatem, że pomogłem drużynie, ale z drugiej żałuję, że „dostaliśmy" dwie bramki, bo dawno tylu goli nie straciliśmy. Wierzę, że w następnym spotkaniu zagramy z tyłu na zero.

Gwoli uzupełnienia dodajmy, że drużyna znad Kaczawy w rundzie jesiennej po dwa gole straciła jeszcze w meczach z Arką Gdynia (1:2), Stalą Stalowa Wola (4:2) i GKS-em Tychy (2:2).

Lepszy rydz niż nic

Trener „Miedzianki" Ireneusz Mamrot ocenę meczu z Wisłą Płock rozpoczął niestandardowo, bo od... negatywów. – Pierwsza połowa to zdecydowanie nasze najsłabsze 45 minut w tym sezonie w Legnicy, bo jeszcze słabiej zagraliśmy w Rzeszowie ze Stalą – powiedział 54-letni szkoleniowiec. – Ale z pierwszych trzech kwadransów i tak wyciągnęliśmy maksa, bo strzeliśmy wyrównującą bramkę przed zejściem na przerwę. To było bardzo ważne. Druga połowa była zdecydowanie lepsza w naszym wykonaniu, świadczy o tym chociażby liczba sytuacji do zdobycia bramki, które wykreowaliśmy. Z tego na pewno możemy być zadowoleni, jednak wciąż szwankuje u nas skuteczność. Przy prowadzeniu 2:1 wyszliśmy we dwóch na jednego przeciwnika, lecz źle tę akcję rozegraliśmy i nie podwyższyliśmy wyniku. To był pierwszy moment przełomowy dla losów tego meczu. Drugi był już przy 2:2, gdy Damian Michalik nie wykorzystał okazji na trzeciego gola. To trochę podcięło nam skrzydła, a pokazuje, że nieskuteczność z naszej strony była dosyć duża. Z jednej strony towarzyszy nam uczucie niedosytu, ale z drugiej trzeba uczciwie przyznać, że po pierwszej połowie mogliśmy przegrywać 0:2 i taka strata byłaby trudna do odrobienia. Punkt zawsze wzbudza niedosyt, ale gorszy byłby przegrany mecz.

Kolejny debiutant

W poniedziałkowym spotkaniu po raz pierwszy zagrał na zapleczu ekstraklasy 20-letni napastnik, Michał Kaczmar. To był w ogóle jego debiut w zespole seniorów „Zielono-niebiesko-czerwonych". Wychowanek klubu FAT Oława pojawił się na boisku w 78 minucie, zastępując Iwo Kaczmarskiego. To kolejny młodzieżowiec zaliczający pierwsze minuty na pierwszoligowym poziomie w tym sezonie w zespole „Miedzianki". Przed nim tego zaszczytu dostąpili 17-latkowie: Igor Szymoniak (cztery mecze) i Igor Maliszewski (jeden występ).

Bogdan Nather

Sport d013799584

Jak bić, to na wyjeździe

Skuteczność Ruchu w meczach na obcym terenie jest znacznie niższa niż u siebie.

RUCH CHORZÓW

Chorzowianie pochwalili się ostatnio, że są jedyną drużyną w ekstraklasie i I lidze, która jak na razie nie przegrała u siebie. Rozszerzając tę statystykę na cały szczebel centralny, dopisać do nich można jeszcze lidera II ligi, Pogoń Grodzisk Mazowiecki, który imponuje formą.



Fot. Tomasz Jastrzębowski/PressFocus

„Niebiescy" muszą poprawić się w grze poza Chorzowem, choć... czeka ich tam jeszcze tylko sześć spotkań.

Czekają na wiosnę

Nieco mniej kolorowo wygląda statystyka porażek, jeśli zerknie się na mecze wyjazdowe. W 17 kolejkach Ruch przegrał pięć razy i wszystkie te spotkania rozegrał w delegacji. Nadmienić jednak należy, że „Niebiescy" zaliczyli poza „swoim" stadionem zdecydowanie najwięcej meczów, co miało rzecz jasna związek z sierpniowo-wrześniową serią wyjazdową, którą wymusiła (nie)dostępność Stadionu Śląskiego. Mieli więc najwięcej okazji do porażek, ale idąc też tym tokiem rozumowania... skoro grali najmniej meczów u siebie, to mieli też najmniej okazji do wpadek. Gołym okiem widać jednak, że grając na chorzowskim kolosie, piłkarze Ruchu czują się lepiej, co zresztą nie jest niczym szczególnie dziwnym. Aktualnie, znajdując się na półmetku rozgrywek, są w strefie barażowej, a do lidera tracą 11 punktów. Jeśli uda im się utrzymać siłę Stadionu Śląskiego, wiosną będą mieli okazję do zniwelowania tej różnicy. Od lutego do kwietnia zagrają osiem spotkań, z których aż siedem odbędzie się w „Kotle czarownic"!

Średnia o połowę gorsza

Kwestię domowo-wyjazdową warto jednak odnieść tylko do okresu pracy trenera Dawida Szulczka. W spotkaniach ligowych (nie ma co mieszać do tego Pucharu Polski) punktuje on ze średnią 2,1 na mecz. To znakomity wynik, na który złożyło się siedem zwycięstw i trzy porażki. Jak widać, szkoleniowiec ze Świętochłowic nie lubi remisów-kompromisów. Na Stadionie Śląskim jest bezlitosnym gospodarzem, bo wygrał wszystkie cztery spotkania, więc średnia punktowa wynosi równe trzy. Na wyjazdach już tak wesoło nie ma. Tam średnia „zjeżdża" do 1,5 punktu na mecz, co nie jest jakimś beznadziejnym wynikiem, ale jednak wyraźnie słabszym niż u siebie. Ruch Szulczka w delegacji trzy razy wygrał i trzy razy przegrał. Jeśli przegrywał, to zawsze do zera. Co ciekawe, w każdym tym meczu chorzowian wspierała na trybunach wielka delegacja ich kibiców, a piłkarze regularnie podkreślają, że grając na wyjeździe, czują się niemalże jak na Śląskim. – Już kiedyś mówiłem, że kibice są niesamowici. W każdym meczu czujemy się, jakbyśmy grali u siebie. W Warszawie było podobnie. Przepraszamy, bo wiele dla nas podróżują, ale nie potrafiliśmy ich uszczęśliwić. Jestem pewny, że w piątek (z Odrą – przyp. red.) damy im powody do radości. Zrobimy wszystko, aby tak się stało – mówił Soma Novothny, od pierwszego dnia w Ruchu będący pod wrażeniem „niebieskiej" publiki.

Mazowsze im nie sprzyja

Trzy wyjazdowe porażki Szulczka mocno się od siebie różniły. Za każdym razem półka rywala była inna – Miedź była tym z topu, Stal tym z dołu, a Polonia ze środka. Z zespołami ze Stalowej Woli i Warszawy „Niebiescy" zagrali nijako i apatycznie, wolno, choć o ile ze „Stalówką" mieli jeszcze kilka okazji na bramkę, to z „Czarnymi koszulami" nie było ich prawie wcale. Co ciekawe, najlepiej z tego grona szło im z Miedzią, mimo że finalnie wrócili z Legnicy z rezultatem 0:3, najgorszym w tym sezonie. Do przerwy Ruch był jednak stroną lepszą i powinien prowadzić. Na swoje nieszczęście stracił dwie szybkie bramki na początku drugiej połowy, a potem – przez głupotę – Macieja Sadloka, w osłabieniu nie był w stanie zagrozić gospodarzom. Można zatem odnieść wrażenie, iż Ruch w delegacji lepiej czuje się... u tych silnych. Za Szulczka pokonał przecież na wyjeździe ŁKS, Stal Rzeszów, a także derbowego rywala GKS Tychy (abstrahując od jego ogólnej dyspozycji). W tym roku chorzowianie zagrają poza Śląskim jeszcze tylko ze Zniczem Pruszków, drużyną – na oko – z poziomu Polonii. Mazowsze im do tej pory nie sprzyjało, bo nie dość, że ulegli w Warszawie, to jeszcze wcześniej przegrali także na stadionie Wisły Płock.

Piotr Tubacki

Transfer się broni

Łukasz Zwoliński w meczu ze Stalą Rzeszów strzelił dla „Białej Gwiazdy" pięknego gola.

WISŁA KRAKÓW

Siedem goli i pięć asyst w 16 ligowych meczach i jednym pucharowym – to bilans 31-letniego napastnika po przejściu do „Białej Gwiazdy". Miał bardzo trudny początek, za co obrywało się i jemu, i tym, którzy sprowadzili go pod Wawel. Odkąd jednak wrócił do wysokiej formy fizycznej, jest jednym z najmocniejszych punktów drużyny, dobrze współpracuje m.in. z Angelem Rodado, a nawet wchodzi w jego buty, gdy Hiszpan ma słabszy dzień.

Wykupiony z Rakowa

Zwoliński trafił do Wisły latem. Zastąpił w niej Szymona Sobczaka, który reprezentował klub tylko przez sezon. Ten piłkarz też miał trudny początek, ale rozgrywki skończył z 10 trafieniami i sześcioma asystami. Klub nie przedłużył z nim umowy i choć prezes Jarosław Królewski mówił potem, że wpływ na decyzję miały tylko względy sportowe, to nie do końca tak było. Można było mieć uwagi do jego funkcjonowania w szatni, bo to typ indywidualisty, który ma dość wysokie mniemanie o sobie. Nie przez przypadek szybko nadano mu przydomek „Cristiano". W klubie byli też na niego bardzo źli za niewykorzystany rzut karny przeciwko Zagłębiu Sosnowiec. Strzelił inaczej niż w poprzednich meczach, a po zmarnowanej szansie na zwycięstwo krakowianie wpadli w duży dołek. Trenerem został Kazimierz Moskal, który współpracował z Sobczakiem w Zagłębiu Sosnowiec, ale też nie widział go w drużynie. Musiał więc znaleźć sobie nowy klub (trafił do Arki Gdynia, gdzie bardzo dobrze sobie radzi), a Wisła sięgnęła po Zwolińskiego, który został wykupiony z Rakowa.

Lepsza wersja Sobczaka

Na początku przygody ze zdobywcą Pucharu Polski nowy napastnik miał mocno pod górkę. Wylała się na niego fala krytyki – w dużej części były to uzasadnione uwagi, bo prezentował się bardzo słabo. Wyglądał źle fizycznie, nie wykorzystywał „setek". Potem tłumaczył, że jego słaba dyspozycja wzięła się z powodu nieprzepracowanego okresu przygotowawczego. Sam się zresztą zdziwił, że pierwsza taka sytuacja w jego karierze miała aż tak duży wpływ na dyspozycję. Dostało się także tym, którzy sprowadzili Zwolińskiego. Dziś można powiedzieć, że nie „odpalił" od razu, ale od dwóch miesięcy jego transfer się broni. Nie tylko strzela i asystuje. Jest dobrze wyszkolony technicznie, dlatego odnajduje się w grze kombinacyjnej, przydało mu się to także w piątek ze Stalą Rzeszów, gdy strzelił ładnego gola na 1:1. Oprócz tego daje zespołowi to, co Sobczak, czyli haruje dla drużyny, nie odstawia nogi.

W piątek dał sygnał

Gdy w piątek zdobył kolejną bramkę, nie okazywał wielkiej radości. Jego zachowanie nie było przypadkowe. – Nie pamiętam, kiedy ostatni raz strzeliłem tak ładną bramkę, ale szkoda, że tylko za jeden punkt. Nie cieszyłem się szczególnie, bo chciałem zadziałać psychologicznie i pokazać, że idziemy po drugą. Nie wyszło, szkoda – kręcił głową Łukasz Zwoliński. – Po raz kolejny zabrakło nam cierpliwości. Prawda jest taka, jak mówi trener: gdy jesteśmy cierpliwi, gramy swoje, nie wymyślamy, to stwarzamy sytuacje i strzelamy bramki. Z kolei, gdy się śpieszymy i zaczynamy próbować rozwiązań, których wcześniej nie trenowaliśmy, to na boisku jest chaos i z tego też przeciwnik później ma przypadkowe sytuacje – dodawał. Zawodnik nie traci jednak nadziei przed kolejnymi spotkaniami. – Na pewno nie ma co dramatyzować i odwracać teraz wszystkiego do góry nogami, bo wydaje mi się, że idziemy w dobrym kierunku – kończy.



Fot. Łukasz Sobala/PressFocus

Łukasz Zwoliński (z prawej) odnalazł się jako napastnik.

Michał Knura

Sport d013799584



Fot. Paweł Andrachiewicz/PressFocus

Piłkarze Odry (niebieskie stroje) przyjadą teraz do Chorzowa.

Wszystko za mało

Mimo trzech meczów bez porażki, powodów do zadowolenia nie widać.

ODRA OPOLE

Na półmetku sezonu „Oderka" plasuje się na 13. pozycji, mając 15 punktów. Ten dorobek po wyjazdowym meczu z Chrobrym Głogów, zremisowanym przez opolan 1:1, trzeba rozbić na dwie części.

Prezes broni

Pierwszą stanowi okres pracy trenera Radosława Sobolewskiego, który w 10 spotkaniach zdobył tylko osiem punktów (bilans bramkowy 9:20), co sprawiło, że czerwono-niebiescy znaleźli się w strefie spadkowej. W drugiej części, pod wodzą Jarosława Skrobacza, zespół ze stolicy polskiej piosenki w siedmiu występach ugrał siedem punktów (bilans goli 5:12) i wspiął się po ligowej drabince o dwie pozycje. Do tego dodajmy fakt, że w trzech ostatnich meczach opolanie okazali się niepokonani i stracili zaledwie jednego gola. Tymczasem powodów do zadowolenia... ciągle nie widać. Było to wyraźnie słychać w głosie szkoleniowca opolan na konferencji prasowej po meczu w Głogowie.

– Trudno ocenić mi ten mecz – powiedział trener Odry. – Wynik jest, jaki jest – remis. Na pewno chcieliśmy pokusić się o trzy punkty, ale oceniając naszą grę, myślę, że zrobiliśmy za mało, żeby to spotkanie wygrać. Na pewno brakowało nam większego zdecydowania, szczególnie w polu karnym przeciwnika. Spóźnione decyzje, żeby zakończyć akcje strzałem czy wcześniejszym dośrodkowaniem, powodowały, że nie potrafiliśmy stworzyć takiego zagrożenia, które pozwoliłoby nam pokusić się o zwycięską bramkę. Ten punkt przyjmujemy z mieszanymi uczuciami – przyznał trener Skrobacz.

O tym, że mecz w Głogowie był wyrównany, świadczą statystyki. Opolanie mieli 53 procent posiadania piłki. Obydwie drużyny oddały po 11 strzałów, z których głogowianie odnotowali cztery celne, a zawodnicy Odry trzy i także w rubryce rzutów rożnych Chrobry okazał się lepszy (6:4). Na te wszystkie dane trzeba jednak popatrzeć przez pryzmat boiskowy.

– Trener Jarosław Skrobacz już na początku miał problemy kadrowe – przypomniał prezes Odry, Tomasz Lisiński. – Liczba zawodników, którzy są niedysponowani, mają urazy czy kontuzje, także długoterminowe – nawet półroczne, jak choćby Mateusz Spychała, Din Sula czy Adrian Łyszczarz – powoduje, że rywalizacja w naszym zespole maleje, a okienko transferowe jest zamknięte, więc ściągnięcie zawodników nie wchodzi jeszcze w rachubę.

Odżyją wspomnienia

– Wejście trenera na pewno nie było łatwe, ale widać, że złapał dobry kontakt z drużyną. Myślę, że z każdym treningiem, z każdym meczem zespół wygląda coraz pewniej. A kiedy kontuzje, urazy i problemy kadrowe przestaną nas aż tak mocno absorbować, to drużyna będzie rosła w siłę. Ale teraz jesteśmy w takim momencie, że musimy jak najwięcej punktów nazbierać do zimy i przed każdym meczem wierzymy, że uda się osiągnąć korzystny rezultat – dodał prezes Odry.

W Głogowie spotkanie zakończyło się remisem 1:1, ale to już historia, a przed Odrą piątkowy mecz na Stadionie Śląskim, na który Jarosław Skrobacz wraca jako były trener chorzowian, z którymi przeszedł drogę od II ligi do ekstraklasy. Na pewno odżyją wspomnienia, ale przede wszystkim liczyć się będzie jak najkorzystniejszy rezultat dla drużyny, którą 57-letni szkoleniowiec w tej chwili prowadzi. Z nią – od popołudniowego poniedziałkowego treningu – zaczął „akcję Chorzów" i na przedpołudniowych zajęciach od wtorku do czwartku chce przygotować taką dyspozycję, żeby Odra zatrzymała Ruch.

Jerzy Dusik

Na skraju upadku

Olympique Lyon może wraz z końcem sezonu zostać zdegradowany do Ligue 2.

FRANCJA

Nie od dzisiaj wiadomo, że kwestia finansów we francuskiej lidze wzbudza wiele emocji. Jedni dzięki bogatym inwestorom sięgają gwiazd, jak choćby PSG, a inni z kolei dna. Ostatnim przykładem jest Saint Etienne. Teraz w patowej sytuacji znalazł się jeden z najlepszych klubów pierwszej dekady XXI wieku nad Sekwaną. Olympique Lyon ledwie kilkanaście dni temu usłyszał druzgocący wyrok. Francuski Narodowy Komitet Kontroli i Zarządzania (DNCG) ze względu na kłopoty finansowe tymczasowo zdegradował klub do Ligue 2! Oczywiście wszystko można całkiem szybko odkręcić. Wystarczy tylko unormować kwestie finansowe. Zapowiedział to choćby prezes OL, John Textor. 59-latek był jednym ze zwiastunów zmian w klubie. Jak na razie nie wróżą one za dobrze na przyszłość.

36
LAT
bez przerwy na najwyższym szczeblu rozgrywkowym występuje Olympique Lyon. W 1989 roku na najwyższym ligowt poziom wprowadzał ich Raymond Domenech. Od tego czasu „Les Gones" sięgnęli m.in. po siedem mistrzostw Francji z rzędu.

Zmiana na gorsze

Dotychczas wszystkie zmiany w klubie firmował Jean-Micher Aulas. Wiekowy już działacz zarządzał klubem od 1987 do 2023 roku. W tym czasie Olympique osiągnął największe sukcesy. Najpierw zespół awansował do najwyższej klasy rozgrywkowej. Zadomowił się tam, by na początku nowego stulecia zaatakować największych. Przez siedem lat nie oddał tronu. W dodatku awansował do półfinału Ligi Mistrzów (2010), a tam przegrał z Bayernem. To były to złote czasy dla Lyonu.

Kolejna dekada nie była aż tak udana, jednak „Les Gones" musiały mierzyć się z wieloma problemami. Przede wszystkim chodziło o ogromne zastrzyki finansowe w PSG czy przejściowo w Monaco. Nie sposób było utrzymać podobnego tempa „zbrojeń", co choćby szejkowie w Paryżu. Ostatecznie więc Lyon, choć miał przebłyski jak w 2020 roku z drugim półfinałem Ligi Mistrzów (znowu przegrana z Bayernem), musiał pogodzić się z rolą drugoplanową. Sam Aulas, choć miał ponad 70 lat, deklarował chęć pozostania w klubie jako prezes nawet do 2030 roku. Los jednak sprawił, że nie było mu to dane.

W 2022 roku wspomniany Textor przy użyciu grupy Eagle Football (właściciele m.in. Crystal Palace, RWD Molenbeek czy Botafogo) kupił udziały w klubie z Lyonu. Rok później Aulas, zasiadający także we władzach francuskiej federacji, po 35 latach oddał władzę Textorowi. Był to moment zwrotny, gdyż od tego momentu coś w klubie zaczęło się psuć. W poprzednich rozgrywkach „Les Gones" byli nawet o krok od spadku z Ligue 1! Obecny sezon zapowiada się jako walka o finansowe przetrwanie.

„Nie zostaniemy zdegradowani"

Oczywiście Textor zaraz po ogłoszeniu decyzji przez DNCG zapewniał na konferencji prasowej, że do spadku nie dojdzie i zrobi wszystko, by sytuacja została wyjaśniona. Zapewnienia są rzecz jasna godne pochwały, jednak dopiero w momencie podjęcia działań. Na razie jedyne, co słychać w mediach we Francji i nie tylko, to jasna informacja o tym, że klub czeka przebudowa kadry, a więc sprzedaż zawodników. Wiele wskazuje na rozstanie z Rayanem Cherkim. Francuzem interesuje się Liverpool.

To jednak tylko jeden z przykładów. W kadrze zespołu Pierre'a Sage'a znaleźć można wielu doświadczonych zawodników jak Alexandre Lacazette, Nemanja Matić czy Corentin Tolisso, którzy raczej w Lyonie za drobne nie grają. Zespół więc czeka rewolucja. Te mają to do siebie, że nie zawsze kończą się dobrze. Wszystko obecnie w rękach Textora. Na ten moment kibice Lyonu zapewne nie mają dobrego zdania o prezesie i pewnie nieprędko się to zmieni.

(ptom)



Fot. Anthony Bibard/FEP/Icon Sport/SIPA USA/PressFocus

Ten widok niedługo może być nieaktualny.

Sport d013799584

■ **Bayern – PSG 1:0 (1:0)**
1:0 – Kim (38)
BAYERN: Neuer – Laimer, Upamecano, Kim, Davies – Kimmich, Goretzka – Sane (71. Olise), Musiala (77. Mueller), Coman (72. Gnabry) – Kane. **Trener** Vincent KOMPANY.
PSG: Safonov – Hakimi, Marquinhos, Pacho, Mendes – Zaire-Emery (65. Lee), Vitinha, Neves, Ruiz (83. Asensio) – Dembele, Barcola (72. Ramos). **Trener** Luis ENRIQUE.

■ **Sparta Praga – Atletico Madryt 0:6 (0:2)**
0:1 – Alvarez (15), 0:2 – Llorente (43), 0:3 – Alvarez (59), 0:4 – Griezmann (70), 0:5 – Correa (85), 0:6 – Correa (89)

■ **Slovan Bratysława – Milan 2:3 (1:1)**
0:1 – Pulisic (21), 1:1 – Barseghyan (24), 1:2 – Leao (68), 1:3 – Abraham (71), 2:3 – Marcelli (88)

■ **Barcelona – Stade Brest 3:0 (1:0)**
1:0 – Lewandowski (10), 2:0 – Olmo (66), 3:0 – Lewandowski (90+2)

■ **Bayer Leverkusen – RB Salzburg 5:0 (3:0)**
1:0 – Wirtz (8), 2:0 – Grimaldo (11), 3:0 – Wirtz (30), 4:0 – Schick (61), 5:0 – Garcia (72)

■ **Inter Mediolan – RB Lipsk 1:0 (1:0)**
1:0 – Lukeba (27, sam.)

■ **Manchester City – Feyenoord Rotterdam 3:3 (1:0)**
1:0 – Haaland (44), 2:0 – Guendogan (50), 3:0 – Haaland (53), 3:1 – Moussa (75), 3:2 – Gimenez (82), 3:3 – Hancko (89)

■ **Sporting CP – Arsenal 1:5 (0:3)**
0:1 – Martinelli (7), 0:2 – Havertz (22), 0:3 – Magalhaes (45+1), 1:3 – Inacio (47), 1:4 – Saka (65), 1:5 – Trossard (82)

■ **Young Boys Berno – Atalanta Bergamo 1:6 (1:4)**
0:1 – Retegui (9), 1:1 – Ganvoula (11), 1:2 – De Ketelaere (28), 1:3 – Kolasinac (31), 1:4 – Retegui (39), 1:5 – De Ketelaere (56), 1:6 – Samardzić (90)

1. Inter	5	13	7:0
2. Barcelona	5	12	18:5
3. Liverpool	4	12	10:1
4. Atalanta	5	11	10:1
5. Leverkusen	5	10	11:5
6. Monaco	4	10	10:4
7. Arsenal	5	10	8:2
8. Sporting	5	10	10:7
9. Brest	5	10	9:6
10. Dortmund	4	9	13:6
11. Bayern	5	9	12:7
12. Aston Villa	4	9	6:1
13. Atletico	5	9	11:9
14. Milan	5	9	10:8
15. Man. City	5	8	13:7
16. Juventus	4	7	7:5
17. Lille	4	7	5:4
18. Celtic	4	7	9:9
19. Dinamo	4	7	10:12
20. Feyenoord	5	7	10:13
21. Real M.	4	6	9:7
22. Benfica	4	6	7:5
23. Brugia	4	6	3:6
24. PSV	4	5	7:5
25. PSG	5	4	3:6
26. Stuttgart	4	4	3:6
27. Szachtar	4	4	2:5
28. Sparta	5	4	5:14
29. Girona	4	3	4:8
30. Salzburg	5	3	3:15
31. Bologna	4	1	0:5
32. Sturm	4	0	1:6
33. Lipsk	5	0	4:10
34. Crvena zvezda	4	0	4:16
35. Slovan	5	0	4:18
36. Young Boys	5	0	2:16

1-8 – awans, **9-24** – baraże, **25-36** – odpadnięcie

Lewandowski na 101!

Z wtorkowego gradu goli na czoło wysunęły się dwa trafienia kapitana reprezentacji Polski.

Można było się zastanawiać, jak debiutujące w elitarnych rozgrywkach Stade Brest poradzi sobie z Barceloną. Odpowiedź pojawiła się już po kilku minutach.

Robert Lewandowski został sfaulowany w polu karnym i sam wymierzał sprawiedliwość z jedenastu metrów. Uderzył w swoim stylu, czyli bezbłędnie, ale nie to było najważniejsze. „Lewy" zdobył bowiem swoją setną bramkę w Lidze Mistrzów, dobijając do trzycyfrowej liczby jako dopiero trzeci piłkarz w historii! Przed nim są tylko Cristiano Ronaldo (140 goli) oraz Lionel Messi (129). Polak dokonał tej sztuki w ledwie 125 spotkań, czyli o dwa więcej niż Argentyńczyk i (aż?) 12 mniej niż CR7. Podkreślił tym samym swoją wielkość, choć samo trafienie nie należało do grona tych najbardziej efektownych. Jednakże warto zwrócić tu uwagę na pewną symbolikę dotyczącą pozycji Lewandowskiego. Ani w Barcelonie, ani wcześniej w Bayernie Monachium nikt nawet nie myślał, aby zabierać mu futbolówkę, gdy trzeba ją ustawić „na wapnie". Monopol na karne w największych klubach świata mogą posiadać tylko najwięksi.

W doliczonym czasie „Lewy" strzelił też gola nr 101, finalizując lekkim, acz precyzyjnym uderzeniem akcję po błędzie Francuzów. Barcelona wygrała 3:0, ale nie był to wczoraj najwyższy wynik. Bramek padło mnóstwo. Atletico rozbiło Spartę 6:0, Bayer Leverkusen pokonał 5:0 Salzburg, Atalanta wygrała 6:1 z Young Boys, a Arsenal 5:1 ze Sportingiem. W hicie dnia Bayern Monachium strzelił... jednego gola w meczu z PSG – zrobił to Kim min-jae po rzucie rożnym. Przynajmniej do jutra na czele usadowił się Inter, który nadal nie stracił bramki, a Manchester City – choć prowadził 3:0 z Feyenoordem – tylko zremisował.

Piotr Tubacki



Fot. PAP/EPA

To był wielki dzień Roberta Lewandowskiego i polskiej piłki!

Przemożna chęć rewanżu

Liverpool w ostatnich latach głównie przegrywał z Realem w ważnych meczach.

Rywalizacja Realu Madryt z Liverpoolem będzie wzbudzać w środowy wieczór najwięcej zainteresowania. W końcu pomiędzy tymi zespołami rozstrzygnęła się walka o najważniejsze klubowe trofeum w Europie w 2018 roku. Wtedy „The Reds" spotkali się w finale Ligi Mistrzów z „Królewskimi" na Stadionie Olimpijskim w Kijowie. Po fatalnych błędach bramkarza Lorisa Kariusa „Los Blancos" pewnie wygrali 3:1. Liverpool pod wodzą Juergena Kloppa dobrze zapamiętał ten moment i był on motywacją. W kolejnym roku wygrali Champions League, pokonując w finale Tottenham.

Jednak na spotkaniu w stolicy Ukrainy rywalizacja Realu z Liverpoolem się nie zakończyła. W 2022 roku po raz kolejny drużyna niemieckiego szkoleniowca zagrała przeciwko madrytczykom i znów, tym razem w stolicy Francji, musiała uznać wyższość piłkarzy Carlo Ancelottiego, dla którego był to pierwszy sezon w roli szkoleniowca „Królewskich" po powrocie do stolicy Hiszpanii. Juergen Klopp po raz drugi musiał obejść się smakiem...

Teraz niemieckiego szkoleniowca w Liverpoolu już nie ma. W środę na stadionie Anfield będziemy świadkami meczu Realu z odmienionymi „The Reds", z Arne Slotem w roli opiekuna drużyny. Mimo wszystko w zespole nadal znajdują się piłkarze, którzy pamiętają porażki z Realem w finałach. Będzie to więc niezwykle ciekawy mecz z perspektywy angielskiej ekipy, która będzie chciała się odgryźć za porażki sprzed lat. – Będą odczuwać dodatkową motywację, bo przegrali finał w Paryżu. Natomiast w sezonie 2022/23 wygraliśmy z nimi w fazie pucharowej. Mają w sobie chęć rewanżu i będą chcieli nas pokonać – powiedział Thibaut Courtois, bramkarz Realu Madryt.

W ostatnim finale pomiędzy tymi zespołami jedynego gola zdobył Vinicius. Tym razem Brazylijczyka zabraknie w spotkaniu na angielskiej ziemi. Nie jest to jedyne osłabienie madrytczyków, którzy ostatnio zmagają się z plagą kontuzji. Problemy zaczęły się jeszcze w poprzednim sezonie, gdy David Alaba zerwał więzadła krzyżowe i do tej pory nie doszedł do siebie. W bieżącym sezonie kontuzji doznali Eder Militao oraz Dani Carvajal. Jeżeli wrócą do gry jeszcze w tym sezonie, to dopiero pod koniec zmagań. Co więcej, w kadrze Realu na mecz z Liverpoolem nie znaleźli się Aurelien Tchouameni oraz Rodrygo. Brak francuskiego obrońcy może być bolesny, ponieważ teoretycznie miał on być zastępcą Militao i Alaby. Tymczasem Carlo Ancelotti najprawdopodobniej w pierwszym składzie obok Antonio Ruedigera wystawi Raula Asencio, który będzie debiutował w Lidze Mistrzów.

W teorii oznacza to ogromną szansę na sukces dla ekipy Arne Slota. Problem polega na tym, że Real pomimo ogromnych problemów kadrowych w miniony weekend zagrał fantastyczny mecz przeciwko Leganes. Nawet gdy zabrakło ważnych postaci, pojawiali się nowi zawodnicy, którzy pokazali swój potencjał. Fede Valverde został z konieczności prawym obrońcą i w ogóle nie było widać, że nie jest to jego nominalna pozycja. W linii pomocy grali natomiast Dani Ceballos oraz Arda Gueler, którzy do tej pory byli zmiennikami. Na tym polega siła „Królewskich" – nawet w trudnych momentach znajdują się nowi zawodnicy, którzy nie zmniejszają jakości zespołu.

5. KOLEJKA

Środa, 27 listopada
Crvena Zvezda – Stuttgart, Sturm Graz – Girona (oba o 18.45), Aston Villa – Juventus, Bologna – Lille, Celtic – Brugge, Dinamo Zagrzeb – BVB, Liverpool – Real M., Monaco – Benfica, PSV – Szachtar (wszystkie o 21.00).

Kacper Janoszka

Sport d013799584



Fot. www.odra.wodzislaw.pl

Piłkarze Odry Wodzisław z niecierpliwością czekają na rozwój wydarzeń.

Czarne chmury

Zimą z klubu z Bogumińskiej najprawdopodobniej odejdzie kilku ważnych piłkarzy.

ODRA WODZISŁAW ŚLĄSKI

Od kilkunastu lat zastanawiam się, na czym polega „fenomen" Odry Wodzisław Śląski. Z grubsza polega on na tym, że klub z Bogumińskiej przyciąga kłopoty niczym piorunochron gromy. To już niemal reguła, że kłopoty natury organizacyjno-finansowe powracają tam niczym bumerang. Przypominanie komu i ile pieniędzy „wisi" Odra jest już nudne, skoro byli piłkarze nie mogą odzyskać utraconych pieniędzy. Opowiadam głupoty? Wezmę pierwszy przykład z brzegu. Jedna z klubowych legend, bo taki status ma niewątpliwie Jan Woś (kto się odważy zaprzeczyć?), wygrał nawet proces sądowy z ówczesnym sternikiem klubu. Wyrok opiewał na kilkadziesiąt tysięcy złotych, a nie zapominajmy, że było to lata temu. Już wtedy powiedziałem Jankowi (sorry, panie trenerze), że ów wyrok może oprawić w ramkę i powiesić na ścianie, bo nie zobaczy ani grosza. Nie pomyliłem się, bo pan piekarz przepisał cały majątek na żonę i formalnie był biedny jak mysz kościelna, czyli w zasadzie nic nie miał. A że jeździł lexusem, to zupełnie inna para kaloszy. Uśmiech do dzisiaj nie schodzi mu z twarzy...

„Zamrożone" udziały

Ale wróćmy do Odry. Przed kilkunastoma dniami nad klubem z Wodzisławia Śląskiego ponownie zawisły czarne chmury. Co tam czarne – gradowe! Ze sponsorowania drużyny z Bogumińskiej wycofuje się bowiem Michał Piotrowski, który miał jeszcze „na garnuszku" występującą w tej samej klasie rozgrywkowej (IV liga) Spartę Katowice. Teraz zamierza skupić się na prowadzeniu klubu ze stolicy Górnego Śląska i trudno się temu dziwić, tym bardziej że oficjalnie nie posiadał żadnych udziałów w klubie, tymczasem udziałowcy nie kwapili się (przynajmniej ich znaczna część) na łożenie środków finansowych. To klasyczny pat, ale widocznie umowa była źle skonstruowana, skoro „zamrożonych" udziałów nie można odzyskać.

Od 9 maja bieżącego roku prezesem Odry jest Maciej Handwerker, który również pełni obowiązki prezesa... Sparty Katowice. Tragifarsa całej sytuacji polegała na tym, że podczas niedawnego mecz obu zespołów (16 listopada) sternik klubu z Wodzisławia Śląskiego kibicował... rywalom Odry. Tego chyba nie wymyśliliby do spółki Sławomir Mrożek ze Stanisławem Bareją.

Exodus

Tytuł tej części artykułu nie odnosi się do filmu o tym tytule z 1960 roku z Paulem Newmanem w roli głównej, ani do polskiego zespołu artrockowego założonego jesienią 1976 roku, lecz do teraźniejszości. To nie „ściema", że kilku piłkarzy grających obecnie w Odrze rozgląda się za nowym pracodawcą. Dwóch zgłosiło chęć występów w trzecioligowej Unii Turza Śląska, lecz z tej mąki chleba nie będzie. Nieoficjalnie aż pięciu miałoby odejść do... Sparty Katowice, ale to tylko pobożne życzenia. Trener katowiczan Damian Mikołowicz wie doskonale, że zbyt dużo grzybów w barszczu to nie jest idealny przepis. Pod jego skrzydła ma trafić 21-letni pomocnik Łukasz Gajda, który ma za sobą występy m.in. w GKS-ie Jastrzębie, RO-W-ie Rybnik czy Bruk-Becie Termalice Nieciecza. Być może barwy klubowe zmieni Mateusz Słodowy, zaś reszta na razie jest... milczeniem.

Pojawiły się również przecieki, że do Katowic miałby wrócić trener Michał Czyż, który przed angażem w Odrze przez 3,5 roku prowadził... Spartę. Pytanie za 100 punktów – w jakim charakterze i na jakim stanowisku miałby tam pracować? Na oficjalnej stronie klubowej Odry 33-letni szkoleniowiec powiedział: „W rundzie wiosennej chcielibyśmy jeszcze namieszać w czołówce ligi. Drużyna ma do tego potencjał i miejmy nadzieję, że wspólnie będziemy mieli okazję to udowodnić w meczach rewanżowych. Odnośnie zmian w kadrze drużyny, na ten moment nie możemy być niczego pewni. W ostatnich tygodniach zmieniło się kilka ważnych kwestii w klubie i czekamy na spotkanie z naszym zarządem, udziałowcami, abyśmy mogli określić, co jesteśmy w stanie planować".

„Kroplówka" z miasta

Władze Wodzisławia Śląskiego zamierzają w trzech najbliższych latach wesprzeć finansowo klub z Bogumińskiej kwotą 1,349 miliona złotych brutto. W tym roku to „kroplówka" w wysokości 10 tysięcy złotych, w przyszłym nie więcej niż 26% całkowitej kwoty, czyli około 400 tysięcy, w 2026 roku nie więcej niż 33,5%, czyli około 450 tysięcy, zaś w 2027 roku nie więcej niż 40,5 %, czyli pół miliona. Czy to wystarczy Odrze, żeby godnie funkcjonować w IV lidze? Na pewno nie.

Bogdan Nather

Gra o życie

Zdziesiątkowana kadrowo Unia Turza Śląska zmierzy się dzisiaj w Zabrzu z rezerwami Górnika.

Dzisiaj o 13.00 w III grupie 3. ligi zostaną rozegrane dwa zaległe mecze - w Gorzowie Wielkopolskim miejscowa Warta podejmie rezerwy Śląska Wrocław, natomiast w Zabrzu rezerwy Górnika zmierzą się z Unią Turza Śląska. Dowodzona przez trenera Jana Wosia Unia w ostatniej kolejce przegrała na wyjeździe aż 0:3 z Odrą Bytom Odrzański i teraz ma szansę nieco podreperować nadszarpniętą reputację.

Zadanie nie będzie łatwe, ponieważ z powodu kontuzji kadra unitów jest – mówiąc kolokwialnie – przetrzebiona. – W środowym meczu z powodu kontuzji na pewno nie zagrają Patryk Witkowski, Michał Mazur, Marcel Wramba i Jakub Baran, natomiast Daniela Szymczaka zmogła choroba – wylicza trener unitów, Jan Woś. – Niepewny jest występ w tym spotkaniu Portugalczyka Papu Mendesa. Ponadto kontrakty z klubem rozwiązali Konrad Stisz i Kamil Palasz. Z tego względu musimy z trenerem Marcinem Malinowskim posiłkować się chłopcami z drużyn młodzieżowych: Igor Gawron jest z rocznika 2005, Igor Brachaczek o rok młodszy, zaś Mikołaj Wilkowski urodził się w 2008 roku! Zdajemy sobie sprawę z powagi sytuacji i miejsca w tabeli. Jesteśmy w strefie spadkowej, więc dla nas jest to bardzo ważny mecz, wręcz o życie. Remis w tym spotkaniu wiele nam nie daje, podobnie zresztą Górnikowi, który wyprzedza nas tylko o punkt. Mamy duże braki kadrowe, lecz to dla nas żadna nowość, bo te problemy towarzyszą nam od kilku miesięcy i w pewnym sensie do nich przywykliśmy. Nasi zawodnicy są przygotowani do tego, że czeka ich twardy bój. Mam nadzieję, że udźwignę ten ciężar i wyjdą z konfrontacji z Górnikiem zwycięsko.

Nieoficjalnie dowiedziałem się, że Janusz Bodzioch nie jest już dyrektorem sportowym w Unii. Klub jednak na razie milczy na ten temat jak zaklęty. W najbliższym czasie, być może jeszcze w tym tygodniu, prezes klubu Zenon Rek spotka się z piłkarzami. Spodziewane są cięcia, to znaczy redukcja kadry zawodników. Pożyjemy, zobaczymy.

Bogdan Nather



Fot. www.facebook.com/mksodrabo

Piłkarze Unii Turza Śląska nie wspominają dobrze ostatniego meczu z Odrą Bytom Odrzański.

BETCLIC 3. LIGA - GRUPA III

1. Carina	18	37	36:20
2. Śląsk II	17	36	38:15
3. Miedź II (b)	18	34	34:26
4. Kluczbork	18	32	32:18
5. Goczałkowice	18	31	30:18
6. Ślęza	17	30	32:26
7. Karkonosze	18	29	26:25
8. Lechia	18	28	39:21
9. Pniówek	17	28	27:31
10. Warta	17	27	26:24
11. Stilon	18	24	22:26
12. Polkowice	18	23	21:24
13. Odra	18	22	24:27
14. Podlesianka (b)	1 8	19	24:31
15. Górnik II	17	17	28:27
16. Unia	17 1	6	17:29
17. Stal (b)	18	5	12:36
18. Polonia (b)	18	4	10:44

1 - awans, 2 - baraż, 16-18 - spadek

BETCLIC 2. LIGA

Skra Częstochowa - KKS 1925 Kalisz
1:1 (1:0)

1:0 - Niedbała, 9 min (karny), **1:1** - Putno, 69 min

SKRA: Kramarz - Kaczorowski (68. Owczarek), Kucharczyk, Estigarribia, Leśniak-Paduch, Sobczak - Niedbała (68. Kołodziejczyk), Wróbel (59. Sadowski), Ławrynowicz (90. Magnuszewski), Nocoń - Stangret (90. Noworyta). **Trener** Dariusz ROLAK.

KALISZ: Krakowiak - Putno, Smoliński, Kieliba, Gawlik, Staszak - Andruszko, Cierpka (66. Toporkiewicz), Staszak - Szymański (66. Chaciński), Gordillo. **Trener** Marcin WOŹNIAK.

Sędziował Piotr Szypuła (Bielsko-Biała). Mecz bez udziału publiczności
Żółte kartki: Wróbel, Leśniak-Paduch - Cierpka, Smoliński, **czerwona** Nikodem Leśniak-Paduch (55, druga żółta).

1. Pogoń (b)	19	49	41:12
2. Wieczysta (b)	19	45	45:10
3. Polonia	19	41	39:17
4. Chojniczanka	19	34	24:15
5. Zagłębie (s)	19	29	28:29
6. Kalisz	19	29	19:20
7. Hutnik	19	29	25:33
8. Świt (b)	19	27	28:29
9. Resovia (s)	19	24	27:32
10. Podbeskidzie (s)	19	23	22:24
11. Wisła	18	22	24:32
12. ŁKS II	18	20	21:29
13. Olimpia G.	19	19	24:27
14. Rekord (b)	19	17	29:38
15. Jastrzębie	18	16	19:22
16. Skra	18	13	18:33
17. Zagłębie II	18	12	24:35
18. Olimpia E.	18	11	16:36

1-2 - awans, 3-6 - baraże o awans, 13-14 - baraże o utrzymanie, 15-18 - spadek **(m)**

Sport d013799584

Przełaje, czyli Bytom chce więcej

Środowisko lekkoatletyczne w tym mieście coraz głośniej upomina się o stadion.

Dla tego coraz silniejszego ośrodka sportowego wymarzoną lokalizacją byłaby ta na gruzach starego stadionu Polonii przy ulicy Olimpijskiej.

W minioną sobotę Bytom był po raz pierwszy organizatorem lekkoatletycznych mistrzostw Polski – w biegach przełajowych. Prezes MKS-MOSM Bytom Maciej Kurylas w roli dyrektora zawodów i jego ekipa spisali się na medal, bo w bardzo trudnych zimowych warunkach udało im się w Parku Miejskim sprawnie przeprowadzić imprezę dla prawie 700 uczestników – największej liczbowo w przełajach od prawie 20 lat.

Bytomskie środowisko lekkoatletyczne potraktowało mistrzostwa jako własny sprawdzian organizacyjny i zarazem wykorzystało do nagłośnienia na ogólnopolskiej arenie potrzeby powstania stadionu, którego bardzo w mieście brakuje, a na którym lekkoatleci z Bytomia i okolic mogliby rozwijać swoje talenty.

– Mamy piękny park, więc mogliśmy zaprosić na pięknie zorganizowane biegi przełajowe. Jednego pięknego, czego nie mamy, to stadion. Mówimy o tym głośno – przyznaje Kurylas.

Nie ma martwych dusz

Baza lekkoatletyczna w Bytomiu jest nader skromna, stanowi ją de facto jedna i niepełnowymiarowa 200-metrowa bieżna tartanowa w V LO im. Kamili Skolimowskiej. O hali z bieżnią nie ma w ogóle co wspominać, bo takowej nie ma na całym Górnym Śląsku, stąd mistrzostwa regionalne odbywają się w niedalekiej, ale czeskiej Ostrawie. Mimo to w dwóch bytomskich szkołach podstawowych działają oddziały lekkoatletyczne i chętnych nie brakuje.

– Mamy około 200 podopiecznych, nie martwych dusz, tylko trenujących zawodników z licencjami, startujących w zawodach. Zaczynamy już od kategorii U-12 aż do seniorów, na każdym szczeblu zdobywamy medale mistrzostw Śląska i Polski – informuje szef bytomskiego MKS-MOSM-u.

Imponujący dorobek

Pomimo tak trudnych warunków praca bytomskich trenerów m.in. Krzysztofa Kotuły czy Janusza Szczyrka – zapoczątkowana ponad dwie dekady temu przez Jana Widerę, wychowawcę brązowego medalisty mistrzostw świata na 400 metrów przez płotki Marka Plawgi – naprawdę imponuje i coraz częściej owocuje sukcesami na arenie krajowej i międzynarodowej.



Fot. T. Kasianiuk/PZLA

Talenty lekkoatletyczne w Bytomiu wykuwają się na razie w trudnych warunkach...

Wychowankowie miejscowego klubu Magdalena Stefanowicz (100 metrów i sztafeta 4x100) i Maciej Wyderka (1500 metrów) reprezentowali Polskę na igrzyskach olimpijskich w Paryżu. Z kolei 17-letni Łukasz Zaczyk podbił serca kibiców lekkoatletyki podczas tegorocznych mistrzostw Europy juniorów U-18. W Bańskiej Bystrzycy zawodnik MKS-MOSM-u po brawurowym finiszu wywalczył brązowy medal w biegu na 800 metrów.

– W tym roku Janusz Szczyrk jako trener zdobył ze swoimi zawodnikami, chyba jako jedyny w Polsce, medale mistrzostw kraju we wszystkich kategoriach wiekowych – informuje Kurylas.

Byli piłkarze, będą biegacze?

Kurylasowi i jego popleczni-kom marzy się lokalizacja obiektu lekkoatletycznego na terenie dawnego, nieużywanego obecnie stadionu Polonii Bytom.

– Tam jest miejsce na pełnowymiarowy obiekt, choć ten teren nie jest prawnie uregulowany, m.in. nie wiadomo, kto ma posprzątać po niedoszłej modernizacji, ale to się w końcu musi wyjaśnić. Mamy już projekt i kosztorys, obiekt byłby podobny do tego, który powstał kilka lat temu w Rudzie Śląskiej, choć tam nie ma ośmiu torów. Koszt naszego stadionu wynosiłby 45 mln zł. Potrzebne jest zielone światło w mieście, liczymy na wsparcie PZLA, resortu sportu, urzędu marszałkowskiego. Mistrzostwa w przełajach były okazją do rozmów z przedstawicielami tych instytucji. Kropla drąży skałę. Można pozyskać środki z różnych funduszy związanych z terenami poprzemysłowymi. Wierzę, że Łukasz Zaczyk pobiega jeszcze w Bytomiu podczas mistrzostw Polski, a stadion będzie też bazą treningową dla kolejnych pokoleń bytomskich lekkoatletów – przekonuje Kurylas.

Na razie jednak lekkoatleci w Bytomiu muszą uzbroić się w cierpliwość. Jak informuje prezydent miasta Mariusz Wołosz (czytaj niżej) na razie najpilniejszą potrzebą jest budowa krytego basenu, a samorządy generalnie mają też duże problemy z bieżącym utrzymaniem nowopowstałych obiektów sportowych.

Tomasz Mucha

Najpierw miejski basen, lekkoatleci muszą poczekać



Rozmowa z **Mariuszem Wołoszem**, prezydentem Bytomia

Bardzo udane mistrzostwa Polski w przełajach pokazały sprawność organizacyjną i aspiracje bytomskiego środowiska lekkoatletycznego, które może pochwalić się także coraz większymi sukcesami sportowymi. I zgłasza potrzebę obiektu z pełnowymiarową bieżnią. Jakie są szanse na zbudowanie takiej areny?

– Przede wszystkim chciałem zauważyć, że w Bytomiu działa bardzo dużo różnych środowisk sportowych z podobnymi jak lekkoatletyczne, a czasem większymi sukcesami. Prawdą jest, że kwestia obiektów sportowych była piętą achillesową naszego miasta. Ale w ostatnim czasie powstało nowoczesne lodowisko i wiele boisk piłkarskich, na czele z tym, na którym gra drużyna w II lidze, z dużym zapleczem. I ta inwestycja wciąż jest rozbudowywana. Jest też wiele potrzeb, na przykład piłkarze wodni nie mają gdzie rozgrywać swoich meczów, muszą grać w Gliwicach, a w Bytomiu mogą jedynie trenować na kąpielisku miejskim, jedynym w mieście. To jest jeszcze temat nieodrobiony.

Rozumiem, natomiast pytałem o obiekt lekkoatletyczny i perspektywę jego powstania.

– Zgadzam się z panem, taki obiekt na pewno pomógłby odnosić lekkoatletom z Bytomia jeszcze większe sukcesy, choć uważam, że one już są naprawdę duże. Myślimy i o tym. I muszę szczerze powiedzieć, że nie jest to zawsze kwestia tego, czy zmontujemy budżet na budowę samego obiektu, bo takie środki są w różny sposób do pozyskania. Natomiast coraz większym problemem dla miast stają się koszty utrzymania tych obiektów, które są wydatkiem bieżącym finansowanym z przychodów bieżących, czyli podatków, a te w przypadku Bytomia są niestety bardzo niskie. I tu leży największy problem w kontekście podjęcia tematu budowy kolejnych obiektów, aczkolwiek w żaden sposób tego nie wykluczam. I po budowie basenu na pewno będzie to inwestycja w planie do zrealizowania.

Gdzie ma powstać nowy basen miejski i jak duży będzie to obiekt?

– Na pewno nie mówimy o aquaparku. Będzie to basen miejski ogólnodostępny, spełniający wymogi do gry w piłkę wodną i rozgrywania tam zawodów rangi mistrzostw Polski. Mamy przy tym na uwadze – jak wspomniałem – pełną kalkulację kosztów utrzymania takiego obiektu w późniejszym czasie. Dzisiaj mamy dwie propozycje lokalizacji, które uzależniamy od tego, z jakiego funduszu będziemy mogli pozyskać środki.

Kiedy może ruszyć budowa?

– Chciałbym, żeby to wydarzyło się w tej kadencji władz samorządowych, czyli mówimy o czterech latach, a to jest bardzo krótki okres. Gromadzimy dokumentację, ale przyznam, że czekamy z ukierunkowaniem budowy basenu na programy, które będą za chwilę ogłaszane w sferze obszarów poprzemysłowych, bo chcemy dobrze się w nie wpisać. O tym się nigdy nie mówi, bo dla użytkowników i osób zainteresowanych budowa zaczyna się od momentu wbicia łopaty. Natomiast wszystkie procesy od projektów, przez pozyskiwanie środków i wszystkich pozwoleń i czasami również decyzji środowiskowych, trwają czasami dłużej i w mojej ocenie – jako osoby, która wiele takich inwestycji w ostatnich latach już przeprowadziła i nadzorowała – ten etap i proces jest o wiele trudniejszy niż sama budowa.

Czyli stadion lekkoatletyczny w Bytomiu musi jeszcze na swoją kolej poczekać?

– Nawet jeżeli taka decyzja zapadłaby jutro, to mówimy o procesie kilkuletnim, w tej kadencji, i myślę, że to jest bliska perspektywa. Proszę natomiast pamiętać, że kwestia umiejętności pływania i rekreacji wodnej ograniczająca się tylko do jednego, zabytkowego, ponadstuletniego basenu, jest naprawdę bolączką naszego miasta.

Obiekt piłkarski, na którym gra drugoligowa Polonia, właśnie wszedł w kolejny etap rozbudowy, powstanie na nim druga trybuna. To spełnia oczekiwania?

– Nie ukrywam, że jest to obiekt budowany pod kątem rozwoju dzieci i młodzieży, z bardzo dużym i przemyślanym zapleczem. Może na nim grać pierwsza drużyna Polonii. Istnieje możliwość zmiany nawierzchni ze sztucznej na naturalną, czego – nie ukrywam – jednak bym nie chciał, bo ta sztuczna pozwala trenować dzieciom siedem dni w tygodniu, i o to w tej inwestycji chodziło. Ale nigdy niczego nie wykluczam i życzyłbym sobie dużej drużyny, dużego sponsora i wielu sukcesów, ale żyję w tym mieście wiele lat i patrzę na to bardzo realnie.

No właśnie, piłkarze Polonii aspirują do I ligi, a miasto jest jedynym z niewielu sponsorów klubu. Czy Bytom jest gotowy na kolejny awans sportowy?

– Nigdy nie jest gotowy, bo dodam, że miasto jest praktycznie jedynym sponsorem Polonii. Przy dzisiejszym poziomie finansowania samorządów i trudnej sytuacji biednych miast takich jak Bytom awans na zaplecze ekstraklasy na pewno byłby dużym problemem. Ale jeżeli będzie trzeba, będziemy się z nim mierzyć.

Rozmawiał Tomasz Mucha

Sport d013799584

Czarna seria i dołek

Dziś kielecka Industria, która przegrała ostatnie trzy mecze w Lidze Mistrzów, zmierzy się na wyjeździe z duńskim Aalborgiem.

LIGA MISTRZÓW

Dwudziestokrotni mistrzowie Polski przechodzą wyraźny kryzys. W trzech ostatnich spotkaniach najważniejszych europejskich klubowych rozgrywek nie zdobyli nawet punktu, a w niedzielnym ligowym meczu w Gdańsku zwycięstwo uratowali rzutem na taśmę. Ostatni raz taka czarna seria przytrafiła się kielczanom sześć lat temu. Zamiast walki o bezpośredni awans do ćwierćfinału LM, drużyna ze stolicy regionu świętokrzyskiego musi się skupić na wyjściu z grupy.

Wszystko do poprawy

– W pierwszej kolejności jest złość na siebie, później na zespół – mówi gracz Industrii Arstem Karalek. – Nie jesteśmy przyzwyczajeni do porażek. Wydawało się, że to niemożliwe, żebyśmy zanotowali taką serię. Okazuję się, że jeśli masz coś niepoukładane, szczególnie w głowie, to może się to zdarzyć. Aby wrócić na zwycięską ścieżkę, poprawić musimy praktycznie wszystko. Kiedy będziemy podchodzili we właściwy sposób do tego, co mamy robić na boisku, to wtedy stworzymy zespół. Musimy trzymać się razem. Nasza klasa sportowa powinna pozwolić przyjechać i spokojnie zrobić swoją robotę przez pewne zwycięstwo – podsumował białoruski obrotowy obecnych wicemistrzów Polski.

Podwójnie mobilna obrona

W ostatniej kolejce podopieczni Tałanta Dujszebajewa dość zaskakująco ulegli we własnej hali węgierskiemu OTP Bank-Pick Szeged (31:35), choć długo prowadzili. Tym bardziej teraz o punkty będzie bardzo trudno. W pierwszej rundzie kielczanie przegrali we własnej hali z duńską drużyną 28:35. – Żeby myśleć o zwycięstwie, wszystko musimy zrobić dwa razy lepiej. Obrona musi być podwójnie mobilna, skoncentrowana, atak dwa razy lepszy, a kontrataki dwa razy szybsze. Jeśli to wszystko uda się nam zrealizować, o korzystny wynik będzie zdecydowanie łatwiej – powiedział drugi trener Industrii Krzysztof Lijewski.

Na początku listopada w duńskiej drużynie doszło do zmiany szkoleniowca. Po zaledwie czterech miesiącach pracy zwolniony został Mika Machulla. Zespół przejął jego dotychczasowy asystent Simon Dahl.

Trzeba zbierać punkty

– W trakcie sezonu ta „nowa miotła" nie za wiele może zmienić, bo to może zaburzyć grę drużyny. Może nanieść małe poprawki, ale to raczej nie będzie rzutowało na cały obraz zespołu – podkreślił asystent Tałanta Dujszebajewa, który komplementował najbliższego rywala. – To zespół bardzo mocny z reprezentantami kraju. Do bramki po kontuzji wrócił Niklas Landin, zawodnik, którego raczej przedstawiać nie trzeba. Jego drużyna bardzo dobrze gra jeden na jeden, ma bardzo dobrą technikę użytkową. Potrafi zaskoczyć niespodziewanymi rzutami z drugiej linii, do tego ma bardzo dobre skrzydła i silnych obrotowych. To ekipa kompletna, przed własną publicznością na pewno trudna do pokonania – mówił Lijewski. – Trafiliśmy do bardzo silnej i wyrównanej grupy. Każde zwycięstwo ma ogromną wartość. Musimy zbierać punkty, aby awansować do fazy pucharowej. Determinacja będzie kluczowym elementem, do tego musi dojść pełna koncentracja – zaznaczył drugi trener kieleckiego zespołu. Mecz rozpocznie się o 18.45, a transmitować go będzie Eurosport.

(ZC)



Fot. Paweł Andrachiewicz/PressFocus

Nasza klasa sportowa pomoże nam wygrać – na to liczy kielecki obrotowy, Arstem Karalek.

Gra na swoje nazwiska

Wygrywając na wyjeździe z rumuńską Konstancą, głogowianie zajęli trzecie miejsce w grupie D.

LIGA EUROPEJSKA

Rumuńscy kibice licznie zgromadzeni w Simona Amanar Sports Hall Constanta ze zdumieniem przecierali oczy, patrząc na to, jaki przebieg miało pożegnanie ich ulubieńców z europejskimi pucharami. Co prawda Rumuni, podobnie jak polski zespół, nie mieli już szans na wyjście z grupy, ale gospodarze zapowiadali walkę o zwycięstwo. Tymczasem tylko fragmentami, i to bardzo krótkimi, pokazywali bałkański charakter. Co innego zawodnicy z Dolnego Śląska, którzy od pierwszych minut postawili się zbyt pewnym siebie miejscowym zawodnikom. Zgodnie zresztą z przedmeczowymi zapowiedziami swojego trenera, że „choć szansy na awans nie mamy, to każdy gra na swoje nazwisko. Każdy chce pokazać się jak najlepiej w tych rozgrywkach, żeby później przełożyło się to na Superligę i za rok znowu pokazać się w Lidze Europejskiej" – zapewniał trener Vitalij Nat.

Rumuni tylko dwa razy prowadzili we wtorkowym meczu – 1:0 i 2:1. Potem do głosu doszli głogowianie, którzy po kwadransie prowadzili już 9:5, po bramce Grabowskiego w 18 minucie 11:6, a w 24 minucie nawet 15:8.

Niepokój w szeregi gości wkradł się zaraz po przerwie, bo pierwsze pięć bramek padło łupem rumuńskich zawodników, którzy zbliżyli się do Chrobrego na odległość trafienia. To był sygnał do zwarcia szeregów w czwartej ekipie poprzedniego sezonu Superligi, co w istocie nastąpiło, ponieważ trzy bramki z rzędu teraz rzucili głogowianie. Od tego momentu podopieczni trenera Nata kontrolowali wydarzenia boiskowe i spokojnie dowieźli pierwsze, wyjazdowe zwycięstwo do końcowych gwizdków łotewskich arbitrów. Chrobry zakończył rywalizację w Lidze Europy z dwoma grupowymi zwycięstwami, remisem i trzema porażkami. Obie wygrane zostały odniesione nad wtorkowymi przeciwnikami.

Zbigniew Cieńciała

■ **CSM Constanta – Chrobry Głogów 26:32 (12:18)**
CONSTANTA: Vasile, Rusu, Cristea – Stefan 1, Nistor 4, Andrei, Czikowani 1, Ilie 4, Buzle 6, Dragan 4, Mourino 1, Nikolić, Szasz 1, Ungureanu, Stanković 4, Komogorov. Kary 8 min. Trener George BURICEA.
CHROBRY: Stachera, Łobczuk – Grabowski 3, Zieniewicz 2, Kosznik 3, Orpik 2, Jamiol 3, Dadej 2, Adamski 3, Matuszak 3, Styrcz, Mosiołek 1, Paterek 7, Hajnos, Skiba 3. Kary 10 min. Trener Vitalij NAT.
Sędziowali: Ivars Cernavskis i Edmunds Bogdanovs (Łotwa). **Widzów** 2994.

■ **CD Bidasoa Irun - Ystads IF 35:32 (17:16)**

GRUPA D

1. Irun	6	9	199:176
2. Ystads	6	7	196:179
3. Głogów	6	5	187:201
4. Constanta	6	3	177:203

Pietruszka na pół

Gdyby nie fatalna skuteczność – nie tylko z rzutów karnych – zabrzanie cieszyliby się z pierwszej wygranej.

LIGA EUROPEJSKA

Na ten moment nie mamy punktów. Bjerringbro-Silkeborg to zespół klasowy, z zawodnikami reprezentującymi Danię czy Szwecję, ale dla nas to nie ma znaczenia. Skupiamy się na sobie i będziemy walczyć o zwycięstwo oraz o honor, aby godnie pożegnać się z tegorocznymi rozgrywkami – zapowiadał Arkadiusz Miszka, dla którego był to drugi mecz w roli pierwszego trenera Górnika. Od początku był skupiony na każdym szczególe, mocno przeżywał to spotkanie i zaskoczył składem. Solidnie pomieszał w wyjściowej siódemce, prawe skrzydło obsadzając Krzysztofem Komarzewskim. Zawodnik ten potrzebował trochę czasu, by wstrzelić się w bramkę, ale już po pierwszej połowie miał trzy gole. Zabrzanie grali konsekwentnie, uważnie budowali ataki pozycyjne i w pierwszych 30 minutach wywalczyli trzy rzuty karne. Ich problem polegał na tym, że żadnego z nich nie wykorzystali. Gdyby Dmytro Artemenko (dwukrotnie) i Nikola Ivanović znaleźli sposób na Jonasa Jorgensena, wynik do przerwy byłby korzystniejszy. Duńczycy, którzy tak jak zabrzanie stracili szanse na wyjście z grupy, zaprezentowali sporo ciekawych zagrywek, ale od 20 minuty efektownie stopował ich Kacper Ligarzewski. Ostatniej akcji przed przerwą nie był jednak w stanie zatrzymać. Podobnie było na początku drugiej odsłony, kiedy przyjezdni odskoczyli na trzy trafienia. – My się nigdy nie poddajemy, zawsze walczymy do końca – zapowiadał Adam Wąsowski i słowa kapitana Górnika znalazły potwierdzenie. Zabrzanie walczyli ambitnie w defensywie, a i w ofensywie pozytywnie zaskakiwali. W 48 minucie po golu Bogdana Czerkaszczenki po raz drugi wyszli na prowadzenie (21:20) i rozpoczęła się wymiana ciosów, która zakończyła się remisem. Pietruszka, która była stawką tego rozegranego w Dąbrowie Górniczejmeczu, została podzielona na pół.

Marek Hajkowski

■ **Górnik Zabrze - Bjerringbro-Silkeborg 25:25 (11:12)**
ZABRZE: Ligarzewski, Szczepanik - Komarzewski 3, Ivanović 1, Morkowski 6, Krępa 1, Racotea 1, Artemenko, Wąsowski, Krawczyk 1, Ilczenko 7, Szyszko 1, Bogacz 2, Pinda, Czerkaszczenko 2, Pluczyk. Kary: 2 min. Trener Arkadiusz MISZKA.
SILKEBORG: Jorgensen, Topp - Ilsoe 1, Boldsen 2, Astborsson 3/1, Lid 3, Lynggaard 1, Friden 1, Petersen 1, Zachariassen 1, Lenbroch, Olsen 5, Knappe, Sinding, Sand 7. Kary: 4 min. Trener Simon SORENSEN.
Sędziowali: Marko Sekulić i Vladimir Jovandić (Serbia). Widzów 400.

■ **Montpellier - Granollers 34:25 (15:17)**

GRUPA B

1. Montpellier	6	12	193:145
2. Granollers	6	6	194:186
3. Silkeborg	6	5	165:193
4. Zabrze	6	1	161:189

Sport d013799584

Bez presji, ale z celem

Od czwartku na austriackich, węgierskich i szwajcarskich parkietach rozgrywane będą 16. mistrzostwa Europy kobiet. Biało-czerwone wystąpią w nich po raz dziewiąty w historii, a szósty z rzędu.

Kobiece mistrzostwa Starego Kontynentu rozgrywane są od 1994 roku, ale tegoroczna edycja będzie wyjątkowa, bowiem po raz pierwszy wystąpią w nich 24 zespoły (poprzednio 16). Gospodarzami Euro są: Wiedeń (runda główna, weekend finałowy), Debreczyn (runda wstępna, runda główna), Bazylea i Innsbruck (rundy wstępne). Mecz otwarcia zaplanowano na czwartek, a wielki finał na niedzielę, 15 grudnia. Reprezentacja Polski, którą prowadzi Arne Senstad, w mistrzostwach Europy wystąpi po raz 9. w historii, a 6. z rzędu. Najlepszym wynikiem Biało-czerwonych pozostaje 5. lokata wywalczona w 1998 roku. Przed dekadą awansowały do fazy głównej, a potem za każdym razem odpadały po pierwszej części turnieju. W 2022 roku zajęła ostatnie miejsce w grupie przez bilans bezpośrednich spotkań. Pokonała Hiszpanię, ale przegrała z Niemcami i Czarnogórą. Pierwszy mecz Polek już w czwartek o 20.30. Na inaugurację zmierzymy się z najsilniejszym przeciwnikiem i jednym z faworytów, Francją.



Fot. Paweł Andrachiewicz/PressFocus

Stać nas na dobrą grę na Euro – przekonuje kapitan Polek Monika Kobylińska.

Euro 2026 w Polsce!

Wybór gospodarzy ME odbywał się z dużymi problemami. W pierwotnym terminie zgłosiła się tylko Rosja, która jednak nie potwierdziła swojeJ kandydatury oficjalną aplikacją. O dalszej procedurze miał więc zadecydować Komitet Wykonawczy Europejskiej Federacji Piłki Ręcznej (EHF), który przedstawił trzy kandydatury: węgiersko-austriacko-szwajcarską, czesko-polsko-słowacką oraz... rosyjską. W styczniu nadzwyczajny Kongres EHF wybrał ofertę Austrii, Węgrier i Szwajcarii, a Polska, Czechy, Słowacja, Turcja i Rumunia będą współgospodarzami edycji w 2026 roku.

Inauguracja w Bazylei

Polki przygotowania do turnieju rozpoczęły we wrześniu, kiedy odbyły zgrupowanie w Szczyrku i wzięły udział w towarzyskim turnieju w czeskim Chebie, gdzie pokonały kolejno Islandię (26:15), Czechy (28:25) i klubowe wicemistrzynie tego kraju, Hazenę Kynżvart (29:20). Kolejnym etapem szlifowania formy było październikowe zgrupowanie ponownie w Szczyrku. Po kilku dniach wspólnych treningów Biało-czerwone wyleciały na Islandię, gdzie zanotowały dwie porażki z gospodyniami (24:30, 24:28). Po wyjeździe na Islandię norweski selekcjoner wybrał szeroką kadrę (35 osób), którą na początku listopada okroił do 18 zawodniczek. W razie konieczności dokonania zmiany, trener będzie mógł skorzystać wyłącznie z reprezentantek umieszczonych na szerokiej liście. Ostatni etap przygotowań miał miejsce w Gniewinie, skąd Polki udały się na dwumecz w Szwecji, zakończony porażkami z 4. drużyną świata (22:38 i 27:28), skąd dotarły do Bazylei.

Francja faworytem

Polki awans na turniej wywalczyły dzięki dwóm eliminacyjnym wygranym nad Kosowem, a w swojej grupie przegrały z Dunkami, aktualnymi wicemistrzyniami Europy. W wyniku losowania, które odbyło się 18 kwietnia w Wiedniu, Polki trafiły do grupy C razem z Francuzkami, Portugalkami oraz Hiszpankami. Nasze panie będą chciały poprawić 13. lokatę, jaką w 2022 roku zajęły na terenie Słowenii, Czarnogóry oraz Macedonii Północnej. Jeśli chodzi o ich rywalki, to Francuzki dwa lata temu zajęły 4. miejsce, Hiszpanki 9., a Portugalki nie brały udziału w imprezie. - Francja jest faworytem naszej grupy, od wielu lat plasuje się w światowej czołówce. Portugalia i Hiszpania to zespoły, z którymi chcemy wygrać i z takim nastawieniem jedziemy na mistrzostwa. W tych meczach mamy duże szanse. Nie chcemy nakładać na siebie dodatkowej presji, ale nie ukrywamy też, że wyjście z grupy to nasze podstawowe zadanie i jeśli go nie zrealizujemy, będziemy bardzo zawiedzione. Jeśli awansujemy, możemy wykorzystać dobrą passę i wygrywać kolejne mecze. Stać nas na to! - zapowiedziała kapitan Monika Kobylińska.

Regulamin awansów

Do drugiej rundy awansują po dwa najlepsze zespoły z każdej z sześciu grup, które w rundzie głównej rywalizować będą o awans do półfinałów w ramach dwóch grup po 6 zespołów z zachowaniem punktów zdobytych w fazie grupowej. W razie awansu w głównej fazy, Polki będą rywalizować od 5 grudnia z drużynami, które przejdą dalej z grup A oraz B. Z sześciu ekip grupy I tylko dwie najlepsze znajdą się w półfinałach, a trzecia wystąpi w spotkaniu o 5. miejsce. Dodajmy, że trzy najlepsze drużyny Euro zakwalifikują się do mistrzostw świata 2025 w Niemczech i Holandii, a 11 kolejnych o awans powalczy poprzez baraże w kwietniu 2025 roku.

Zbigniew Cieńciała

SIOSTRY Z NOMINACJĄ!

■ Europejska Federacja Piłki Ręcznej nominowała Małgorzatę Lidacką i Urszulę Lesiak do poprowadzenia meczów w ramach mistrzostw Europy kobiet. Choć Polki nie znalazły się na pierwotnej liście nominowanych, wycofanie się Niemek Maike Merz i Tanji Kuttler stworzyło wakat dla nowej pary i EHF zdecydowała się na siostry z Krakowa. To świetna wiadomość dla polskiego środowiska sędziowskiego i wielkie wyróżnienie. Jak tłumaczą same zainteresowane, nominacja ma dla nich szczególny wydźwięk. W trakcie poprzedniego sezonu para Lidacka-Lesiak długo pauzowała z powodu kontuzji drugiej z wymienionych. Od tego momentu ciężko pracowały, żeby wrócić do sędziowania na najwyższym poziomie. Ich dyspozycja w trakcie Euro do lat 18 została zauważona i doceniona.

BIAŁO-CZERWONE

Bramkarki: Adrianna PŁACZEK (Paris 92/Francja), Paulina WDOWIAK (MKS FunFloor Lublin), Barbara ZIMA (KGHM MKS Zagłębie Lubin).
Rozgrywające: Magdalena DRAŻYK (KPR Kobierzyce), Karolina KOCHANIAK-SALA (Zagłębie), Monika KOBYLIŃSKA (CSM Bukareszt/Rumunia), Natalia NOSEK (SC Gloria 2018 Bistrita-Nasaud/Rumunia), Aleksandra ROSIAK, Aleksandra TOMCZYK (obie Lublin), Paulina UŚCINOWICZ (HSV Solingen-Grafrath 76/Niemcy), Aleksandra ZYCH (Energa Start Elbląg).
Obrotowe: Sylwia MATUSZCZYK, Aleksandra OLEK (obie Lublin), Marlena URBAŃSKA (Molde HK Elite/Norwegia).
Skrzydłowe: Magda BALSAM (Lublin), Adrianna GÓRNA (Zagłębie), Daria MICHALAK (HC Dunarea Braila/Rumunia), Dagmara NOCUŃ (S.C. Gloria 2018).

CZY WIESZ, ŻE...

■ Na początku kwietnia 2024 roku przedstawiono oficjalną piłkę zawodów oraz maskotkę – żbika, który w drodze konkursu otrzymał imię Catchy.
■ Oficjalną piosenką zawodów został hit zespołu Opus „Live is life", z tekstem dostosowanym do mistrzostw.
■ Norweżka Nora Mork trzykrotnie zostawała królową strzelców turniejów finałowych: w 2016 roku w Szwecji z 53 bramkami, w 2020 roku w Danii z 52 trafieniami oraz w 2022 roku w Słowenii, Czarnogórze i Macedonii Północnej z 50 bramkami. Poza tym jest pięciokrotną mistrzynią Europy, podobnie jak sześć innych Norweżek.
■ Norweżka Gro Hammerseng dwukrotnie – w 2006 i 2008 roku – została MVP mistrzowskich turniejów. Co ciekawe, w 2012 roku MVP została jej żona, Anja Hammerseng-Edin.
■ Duńczyk Ulrik Wilbek jest jedynym trenerem, który triumfował w ME zarówno z kobietami (w 1994 i 1996 roku), jak i mężczyznami (w 2008 i 2012 roku).
■ Wyspy Owcze i Turcja po raz pierwszy zakwalifikowały się do turnieju finałowego. W sumie 28 krajów wystąpiło w ME.
■ Tylko rekordzistki Norweżki i mistrzynie z 2018 roku Francuzki zdobyły komplet medali ME kobiet.
■ Węgry, Dania, Norwegia i Niemcy brały udział we wszystkich poprzednich turniejach od 1994 roku.

1 RAZ turniej finałowy kobiet zostanie rozegrany z udziałem 24 drużyn – mężczyźni w tym formacie rywalizują od 2020 roku

2 KRAJE sięgnęły po złoto więcej niż raz: Norwegia z dziewięcioma trofeami i Dania z trzema

2 FINAŁY w historii trwały dłużej niż 60 minut: w 2000 roku, gdy Węgry wygrały 32:30 z Ukrainą po dogrywce oraz w 2012 roku, gdy Czarnogóra potrzebowała 80 minut by pokonać Norwegię 34:31

2 RAZY zdarzyło się, że nie w finałach nie było przedstawiciela Skandynawii: w 2000 roku Węgry - Ukraina (32:30) i w 2018 roku Francja - Rosja (24:21)

3 RAZY gospodynie zostawały mistrzyniami Europy: Dania dwukrotnie (1996 i 2002) i Francja w 2018 roku. Jako współgospodarz Norwegia zdobyła trofeum w 2010 roku, ale finał został rozegrany w Danii (Herning)

5 KRAJÓW od 1994 roku sięgało po złoto. Były to: Norwegia (9), Dania (3), Węgry, Czarnogóra i Francja (po razie). Wszystkie zespoły pojawią się również na EURO 2024

6 RAZY na najwyższym stopniu podium stawała norweska bramkarka Katrine Lunde i pod tym względem jest jedyna

13 BRAMEK to największa różnica w meczu finałowym. W 2008 roku Norwegia pokonała Hiszpanię 34:21

14 KRAJÓW zdobyło medale kobiecych ME. Wszystkie - poza wykluczoną Rosją - zagrają w tym roku

17 BRAMEK zdobyła Karolina Kudłacz-Gloc w meczu z Macedonią Północą podczas Euro 2018, co do dzisiaj stanowi rekord

60 MECZÓW na ME rozegrała Katrine Lunde

72 BRAMEK miała Węgierka Bojana Radulovics, królowa strzelczyń Euro 2004

82 GOLE padły w jednym meczu, gdy Węgry pokonały Jugosławię 43:39 w 2002 roku

303 TRAFIENIA na ME zdobyła rumuńska gwiazda Cristina Neagu, co stanowi rekord wszech czasów

14000 WIDZÓW było świadkami finału z 2018 roku pomiędzy Francją a Rosją w paryskiej hali Bercy

237980 WIDZÓW obejrzało mecze Euro 2018 we Francji. Poprzedni rekord wynosił 215752 i ustanowiony został w 2010 roku podczas turnieju w Danii i Norwegii **(ZC)**

Sport d013799584

Zagłębie gra o lidera

Mistrzynie Polski w Stambule grają o awans do play off Euroligi, a w Sosnowcu mecz na szczycie grupy I Pucharu Europy.

PROGRAM SPOTKAŃ POLSKICH DRUŻYN

Środa, 27 listopada
EUROLIGA KOBIET
■ **STAMBUŁ, 17.00.:** Fenerbahce Opet - KGHM BC Polkowice
PUCHAR EUROPY FIBA
■ **LYON, 20.00.:** LDLC ASVEL Feminin - InvestInTheWest Enea Gorzów Wielkopolski

Czwartek, 28 listopada
■ **LUBLIN, 18.00.:** Polski Cukier AZS UMCS - Panathinaikos Ateny
■ **SOSNOWIEC, 18.00.:** MB Zagłębie - BDS Dinamo Sassari
BKT EUROCUP
■ **LAS PALMAS, 21.00.:** Dreamland Gran Canaria - Trefl Sopot

EUROPEJSKIE PUCHARY

Ostatnia kolejka eliminacji grupowych w Eurolidze kobiet i decydujące spotkanie mistrzyń Polski z Polkowic. Przed naszym zespołem zadanie niełatwe, bo zagra w Stambule z obrończyniami tytułu!

Polkowiczanki mają w grupie C bilans 1-4, identyczny jak francuski ESBVA Villeneuve d'Ascq-Lille Metropole. To jednak nasz zespółma lepszy bilans wzajemnych spotkań (90:63, 81:100) i do awansu do fazy play off Pomarańczowe mogą nawet przegrać w Turcji, pod warunkiem, że Villeneuve d'Ascq-Lille też przegra. Zespół z Francji gra w Saragossie z zajmującym drugą lokatę Casademontem. Polska drużyna zacznie swój mecz o 17, rywalki w Hiszpanii zagrają od 20.

Nasza drużyna występuje w ostatnich meczach mocno osłabiona. W składzie brakuje Alexis Peterson. Pochodząca z Ohio Amerykanka z niemieckim paszportem doznała kontuzji stawu skokowego, reprezentując Niemcy w walce o Women EuroBasket (listopadowy mecz z Grecją). Kilka dni temu zawodniczka zamieściła w swoich mediach społecznościowych krótki filmik z zajęć rehabilitacyjnych. – 11 dni od momentu kontuzji. Robimy postępy! – napisała Peterson.

W Pucharze Europy udziału w drugiej fazie pewne są trzy nasze drużyny: Zagłębie Sosnowiec, VBW Gdynia oraz gorzowski InvestInTheWest Enea AZS. Natomiast na tym etapie pucharową przygodę zakończą Akademiczki z Lublina. Najciekawiej zapowiada się mecz w Zagłębiowskim Parku Sportowym w Sosnowcu, gdzie Zagłębie zagra z włoskim Dinamo Sassari. To spotkanie zdecyduje o pierwszym miejscu w grupie I. Sosnowiczanki z kompletem zwycięstw są na czele tabeli, ale rywalki z Włoch mają tylko jedną wygraną mniej. W Sassari Zagłębie wygrało 8 punktami, teraz zatem przyjezdne musiałyby zapewnić sobie co najmniej taką przewagę, by zająć pozycję lidera. Oba zespoły zapewniły sobie awans do fazy play off.

Większość męskich rozgrywek pauzuje, w czwartek jednak rozegrana zostanie 9. kolejka BKT EuroCup. Ostatni w tabeli grupy A Trefl Sopot stanie przed bardzo trudnym zadaniem w Las Palmas. W Gran Canaria Arena mistrzów Polski podejmować będzie tamtejszy Dreamland. Zespół trenera Żana Tabaka nie wygrał w tej edycji żadnego meczu (bilans 0/8) i trudno liczyć na sensację i sukces na terenie drugiego zespołu w tabeli.

(bb)



Taylor Soule jest jedną z najlepszych zawodniczek Zagłębia w tym sezonie.
Fot. Łukasz Sobala/PressFocus

Mamy nową strzelbę

Tak pozyskaniem Amerykanina Tylera Cheesa chwali się MKS Dąbrowa Górnicza.

ORLEN BASKET LIGA

Tyler Cheese, były zawodnik Sokoła Łańcut, wraca do polskiej ekstraklasy. Amerykanin podpisał kontrakt z klubem z Zagłębia Dąbrowskiego.

„Do naszego klubu dołącza znakomity strzelec – Tyler Cheese. Amerykański rzucający obrońca z pewnością jest dobrze znany wszystkim fanom polskiej ekstraklasy, gdzie już zdołał pokazać swój strzelecki kunszt. Również w naszej drużynie liczymy na jego ponadprzeciętne umiejętności ofensywne" – poinformował w swoich mediach społecznościowych MKS.

28-letni zawodnik właśnie za porozumieniem stron rozwiązał umowę w zespole Stade Rochelais Basket. To ostatnia drużyna francuskiej ekstraklasy, której koszykarzem jest reprezentant Polski Jakub Nizioł. Cheese dołączył tam w ostatnich dniach września, rozegrał siedem meczów, podczas których zanotował 9,1 punktu, 2,7 zbiórki oraz 1,9 asysty. Amerykanin miał we francuskim klubie kontrakt krótkoterminowy do Świąt Bożego Narodzenia (jako zastępstwo za kontuzjowanego Allena Flanigana). Drużyna z La Rochelle pozyskała właśnie doświadczonego byłego reprezentanta Niemiec Joshiko Saibou i dla Cheesa raczej brakowałoby tam miejsca.

Cheese w poprzednim sezonie był zawodnikiem zespołu z Łańcuta. W 25 rozegranych spotkaniach zdobywał średnio 20,4 punktu, 3,6 zbiórki i 3,3 asysty. Przed rokiem w meczu z Arką Gdynia Cheese zdobył aż 40 punktów. Był trzecim strzelcem sezonu zasadniczego 2023/24.

– Razem będziemy starali się wywalczyć play offy w Orlen Basket Lidze. Słyszałem wiele dobrych rzeczy o trenerze Borisie, o zespole i całym otoczeniu. Jestem podekscytowany – zapowiada na klubowej stronie zawodnik, o którego starała się też ostatnia w tabeli Arka Gdynia.

Cheese ma zastąpić Souleya Bouma, który kilka dni temu odszedł z MKS-u do... Francji, gdzie został zawodnikiem CSP Limoges.

To nie koniec wzmocnień, bo kilka dni wcześniej do Dąbrowy Górniczej przyleciał Supreme Shakur Hannah, 30-letni gracz obwodowy. Ten zawodnik trzy tygodnie temu podpisał umowę w Grecji w drugoligowym Iraklisie, zagrał w jednym meczu (3 listopada przeciw HANTH Saloniki), w 16 minut miał bilans 0-6 z gry i... to cały epizod w tym klubie.

Duet Cheese – Hannah najprawdopodobniej zobaczymy już w najbliższej kolejce. W niedzielę 1 grudnia MKS zagra w Lublinie z tamtejszym Startem. Lublinianie są na ósmym miejscu w tabeli, a zespół z Dąbrowy Górniczej oczko niżej. Oba zespoły mają taki sam bilans (3-4).

(bb)

Powrót Porzingisa

Po pięciu miesiącach leczenia i rehabilitacji na parkiet wrócił najlepszy łotewski koszykarz.

NBA

Mistrzowie z roku 2023 mają kłopoty. Denver właśnie przegrali czwarty mecz we własnej hali. Aż 145 punktów Nuggets zaaplikowali gracze z Nowego Jorku. Knicks prowadzili po pierwszej kwarcie 12 „oczkami", w połowie było to już 23, a największa przewaga wynosiła 30 punktów. Mecz życia rozgrywał OG Anunoby. Urodzony w Londynie brytyjski koszykarz zdobył 40 punktów, ustanawiając rekord kariery. Rzucał z gry na 70-procentowej skuteczności, do tego miał 5 zbiórek i 4 asysty. Równie wielki mecz rozegrał Karl-Anthony Towns, który zanotował double double (30 punktów, 15 zbiórek). Ten ostatni lubi rywalizację z tym rywalem. Przed rokiem, jeszcze w barwach Minnesota Timberwolves, Towns z kolegami wyeliminowali Nuggets w play off. Świetnie zagrał też Jalen Brunson, który również skończył z dwoma podwójnymi zdobyczami (23 punkty, 17 asyst). – Piłka raz za razem wpadała do kosza. Dobrze zaczęliśmy i nie musieliśmy się oglądać za siebie – z uśmiechem podsumował to spotkanie Brunson.

Knicks w poniedziałek dzielili się piłką i dzięki temu wyrównali klubowy rekord asyst – 45. Z kolei 145 zdobytych „oczek" to najlepszy ofensywny wynik nowojorczyków od listopada 1980 roku przeciwko Pistons. – W defensywie wykonaliśmy świetną robotę, a od strony ofensywy to rzecz jasna był nasz historyczny wieczór. Obie nasze strony pracowały dziś na całego – dodawał Towns.

W Boston Garden mistrzowie zaskakująco łatwo pokonali Clippersów. Gospodarze na długą przerwę schodzili z 29 „oczkami" przewagi (78:49). Miejscowi w całym meczu aż 22 razy trafili za trzy punkty, w tym duet Payton Pritchard i Derrick White 11-krotnie. Sześciu zawodników Celtics miało dwucyfrowe zdobycze punktowe. Bardzo dobrze spisał się Portugalczyk Neemias Queta, który zanotował 12 punktów, 9 zbiórek, 3 asysty, 2 przechwyty i 4 bloki. Wydarzeniem wieczoru był powrót na parkiet po pięciu miesiącach przerwy Kristapsa Porzingisa. Łotysz, który kontuzji doznał w drugim meczu wielkiego finału z Dallas, pod koniec czerwca przeszedł operację stopy.

W poniedziałek wyszedł w pierwszej piątce, był na parkiecie 23 minuty. Zdobył w tym czasie 16 punktów, miał 6 zbiórek, 2 bloki i 2 asysty. – Zabijało mnie od środka, że nie mogłem wyjść na boisko – przyznał w pomeczowej rozmowie. – Warto było czekać i w końcu być z kumplami. W ostatnich tygodniach byłem coraz bardziej niecierpliwy, bardzo chciałem grać i w końcu się udało. Nawet nie było tak źle. Ogólnie rzecz biorąc, jestem zadowolony z gry, jestem zadowolony ze zwycięstwa – podsumował.

Wyniki. Golden State - Brooklyn 120:128, Indiana - New Orleans 114:110, Detroit - Toronto 102:100, Charlotte - Orlando 84:95, Boston - LA Clippers 126:94, Atlanta - Dallas 119:129, Memphis - Portland 123:98, Denver - New York 118:145, Sacramento - Oklahoma City 109:130. **(bb)**

Sport d013799584

Najlepsze z najlepszych

Przed zespołami z Bielska-Białej i Rzeszowa arcytrudne wyzwanie. W Lidze Mistrzyń zmierzą się z włoskimi potentatami.

EUROPEJSKIE PUCHARY

W 3. kolejce Ligi Mistrzyń kibiców czeka spora gratka. Do Bielska-Białej przyjeżdża wicemistrz Włoch, Savino Del Bene Scandicci, w którym aż roi się od gwiazd światowej siatkówki. Za rozegranie odpowiada mistrzyni świata z reprezentacją Serbii, w przeszłości zawodniczka Chemika Police, Maja Ognjenović. Dodajmy, że w Tauron Lidze występowały też Amerykanka Kara Bajema (DevelopRes Rzeszów) i Holenderka Indy Baijens (Chemik). O sile ataku Savino stanowią z kolei Rosjanka z włoskim paszportem Jekaterina Antropowa, Brazylijka Ana Carolina czy Belgijka Britt Herbots.

Wicemistrzynie Włoch od lat są też w europejskiej czołówce. To zwycięzczynie Pucharu Challenge (2022) i Pucharu CEV (2023). W bieżącej edycji Ligi Mistrzyń jak na razie kroczą od zwycięstwa do zwycięstwa. Bez straty seta pokonały C.S.O. Voluntari 2005 oraz Allianz MTV Stuttgart. Bielszczanki z kolei po pokonaniu niemieckiej ekipy w poprzedniej kolejce zanotowały wpadkę i przegrały z rumuńskim zespołem. Teraz liczą, że przy wsparciu fanów sprawią niespodziankę. – To wielki plus, że gramy u siebie. Ostatnio publika poniosła nas do zwycięstwa. Wierzę, że jeżeli zagramy naszą najlepszą siatkówkę, jesteśmy w stanie przeciwstawić się każdemu po drugiej stronie – powiedziała w rozmowie z klubowymi mediami Julia Nowicka, rozgrywająca bialskiego zespołu.



Fot. Łukasz Sobala/PressFocus

Bielszczanki, by nawiązać walkę z włoskim, muszą zagrać najlepiej, jak potrafią.

Jeszcze trudniejsze zadanie czeka DevelopRes Rzeszów, który podejmuje A. Carraro Imoco Conegliano. To absolutny top światowej, klubowej siatkówki, obrońca trofeum. To także częsty rywal DevelopResu – obie ekipy spotkały się czterokrotnie i wszystkie spotkania zakończyły się wygraną mistrza Włoch. W jego składzie są dwie reprezentantki Polski, Joanna Wołosz i Martyna Łukasik. Do tego plejada gwiazd na czele z brazylijską przyjmującą Gabrielą Bragą Guimaraes (Gabi), szwedzką atakującą Isabelle Haak oraz reprezentantkami Włoch – Sarą Fahr, Cristiną Chirichellą, Moniką De Gennaro oraz Mariną Lubian.

Mając tak mocny skład, wyniki Imoco nie dziwią, a są one niesamowite. W krajowej lidze wygrało wszystkie dziewięć meczów i straciło zaledwie dwa sety. W LM pewnie wygrało dwa pierwsze spotkania z Mladost Zagrzeb i Maricą Płowdiw po 3:0. W tych spotkaniach wystąpiła tylko Łukasik, bo Wołosz dostała od trenera Daniele Santarelliego czas na odpoczynek. Rzeszowianki też wykonały swój plan w LM i po dwóch meczach mają komplet punktów. – Nie ma co ukrywać, że Conegliano jest zdecydowanym faworytem. To jest przecież aktualnie najlepszy zespół klubowy na świecie. Cóż, jest bardzo mocny, w drużynie nie brakuje gwiazd światowej siatkówki, ale nam nie pozostaje nic innego, jak zaprezentować jak najwyższy poziom, cieszyć się z gry i z każdego punktu. Może w takim spotkaniu będziemy w stanie sprawić jakąś niespodziankę, a na pewno postaramy się jak najbardziej utrudnić grę rywalkom – oceniła Marrit Jasper, przyjmująca DevelopResu na oficjalnej stronie Tauron Ligi.

Teoretycznie najłatwiejsze zadanie czeka Budowlane, które zmierzą się z Vasasem Obudą Budapeszt. Jeśli łodzianki chcą zakwalifikować się do kolejnej fazy rozgrywek, z mistrzem Węgier powinny sięgnąć po komplet punktów.

(mic)

MECZE POLSKICH DRUŻYN

Środa, 27 listopada
Liga Mistrzyń

- **BIELSKO-BIAŁA, 18.00:** BKS Bostik ZGO - Savino Del Bene Scandicci (grupa E)
- **RZESZÓW, 20.30**: DevelopRes - A. Carraro Imoco Conegliano (grupa A)

Czwartek, 28 listopada
Liga Mistrzyń

- **ŁÓDŹ. 18.00:** Grot Budowlani - Vasas Obuda Budapeszt (grupa D)

Puchar CEV kobiet
(1/8 finału)

- **NEUCHATEL, 20.00:** Viteos UC – Moya Radomka

NASI ZA GRANICĄ

HIT DLA CONGLIANO

W Serie A kobiet doszło do hitowego starcia. Prosecco Doc Imoco Conegliano Joanny Wołosz i Martyny Łukasik walczyło z Numia Vero Volley Mediolan prowadzone przez trenera naszej kadry kobiet Stefano Lavariniego. Emocji jednak nie było. Conegliano wygrało 3:0. Wołosz rozegrała cały mecz. Łukasik w każdym secie wchodziła na zmiany.

W ostatniej kolejce nie powiodło się natomiast Wash4green Pinerolo z Malwiną Smarzek w składzie. Jej drużyna przegrała z Bergamo 0:3. Nasza atakująca wywalczyła 11 punktów i była najskuteczniejsza w swoim zespole.

Wygrało za to Bartoccini-Mc Restauri Perugia Aleksandry Gryki. Polska środkowa w sukcesie z Il Bisonte Florencja (3:1) nie miała udziału, bo mecz spędziła w kwadracie dla rezerwowych.

W Serie A mężczyzn Sir Susa Vim Perugia, z Kamilem Semeniukiem w składzie, pozostaje niepokonany. Podopieczni trenera Angelo Lorenzettiego wygrali w niedzielę dziewiąty mecz z rzędu, zwyciężając na wyjeździe Allianz Mediolan 3:1 (19:25, 25:20, 30:28, 25:15). Semeniuk, etatowy reprezentant Polski, zdobył 15 punktów, w tym cztery zagrywką.

Ekipa Polaka po dziewięciu meczach fazy zasadniczej Serie A pozostaje niepokonana i jest liderem tabeli. Nad drugim zespołem z Trydentu ma punkt przewagi. Nie poniosła też jeszcze porażki w Lidze Mistrzów. W tym sezonie wywalczyła już jedno trofeum – Superpuchar Włoch trzeci raz z rzędu.

DEMOLKA FENERBAHCE

W Turcji powody do zadowolenia ma Magdalena Stysiak. Reprezentacyjna atakująca i jej koleżanki z Fenerbahce Stambuł tym razem wysoko ograły Sariyer Bld 3:0 (25:15, 25:13, 25:16). Polka była najlepsza na parkiecie. Zdobyła 15 punktów, mając 53-procentową skuteczność w ataku.

Przegrała natomiast ekipa Bahcelievler Bld Martyny Czyrniańskiej. Jej pogromcą okazał się Kuzeyboru, wygrywając 3:0. Czyrniańska grała tylko w pierwszym secie, w którym wywalczyła trzy „oczka".

BŁYSK MUZAJA

W dalekiej Japonii „polskie" drużyny grały ze zmiennym szczęściem. Tokio Great Bears, w którym występuje Maciej Muzaj, dwukrotnie ograł Nippon Steel Sakai Blazers 3:1 i 3:0. Polak był czołową postacią swojej ekipy. Świetnie spisał się zwłaszcza w pierwszym meczu, w którym wywalczył aż 26 punktów, z czego dwa blokiem. W rewanżu zapisał 17 „oczek", popisując się m.in. trzema asami.

Natomiast Suntory Sunbirds Aleksandra Śliwki wygrał z JTEKT Stings Achi 3:1 i przegrał 1:3. W pierwszym spotkaniu nasz przyjmujący wchodził na zmiany i mecz zakończył z trzema punktami. Drugie spotkanie rozegrał w całości i zdobył 11 punktów.

(mic)

PLUSLIGA

- **Barkom Każany Lwów – Indykpol AZS Olsztyn 1:3 (23:25, 23:25, 25:21, 17:25)**

LWÓW: Petrovs (1), Kowalow (10), Fasteland (11), Tupczij (21), Tammearu (6), Rogożyn (7), Pampuszko (libero) oraz Smokało (2), Szczurow, Valimaa, Szewczenko (1). Trener Ugis KRASTINS.

OLSZTYN: Tervaportti (3), Szerszeń (13), Jakubiszak (16), Hadrava (13), Karlitzek (17), Cieślik (3), Hawryluk (libero) oraz Jankiewicz (1), Siwczyk (2), Gąsior (1). Trener Marcin MIRZEJEWSKI.

Sędziowali: Marcin Kolendowski i Tomasz Flis (obaj Kraków). **Widzów** 499.

Przebieg meczu
I: 10:9, 12:15, 19:20, 23:25.
II: 10:9, 15:12, 19:20, 23:25.
III: 9:10, 15:14, 20:18, 25:21.
IV: 5:10, 8:15, 11:20, 17:25.
Bohater – Szymon JAKUBISZAK.

1. Jastrzębie	13	34	11/2	36:14
2. Warszawa	13	31	11/2	35:14
3. Zawiercie	13	31	10/3	34:14
4. Lublin	13	28	10/3	32:17
5. Kędzierzyn-Koźle	13	26	8/5	29:21
6. Częstochowa	13	24	9/4	30:24
7. Bełchatów	13	22	8/5	26:23
8. Rzeszów	13	21	7/6	29:27
9. Gorzów	13	19	8/5	26:28
10. Suwałki	12	15	6/6	23:27
11. Gdańsk	13	15	4/9	25:33
12. Olsztyn	13	14	4/9	20:29
13. Będzin	12	10	3/9	15:28
14. Nysa	13	9	2/11	17:34
15. Lwów	13	6	2/11	16:35
16. Katowice	13	4	1/12	12:37

1-8 awans do play offu; 14-16 spadek do I ligi

Następne mecze: **27.11.:** Będzin – Suwałki; **28.11.:** Warszawa – Bełchatów; **29.11.:** Katowice – Suwałki, Zawiercie – Nysa; **30.11.:** Rzeszów – Kędzierzyn-Koźle, Lublin – Jastrzębie; **1.12.:** Lwów – Będzin, Olsztyn – Gorzów Wlkp.

Nie było złudzeń

PUCHAR CEV

Łodzianki do meczu z włoskim Igor Gorgonzola Novara przystąpiły podbudowane zwycięstwem w ostatniej kolejce ligowej z DevelopResem Rzeszów. Włoska drużyna była faworytem, ale wydawało się, że ŁKS stać na nawiązanie walki. Skończyło się tylko na nadziejach. Przyjezdne były zdecydowanie lepsze. Wygrały bez najmniejszego kłopotu. Z zimną krwią wykorzystywały każdy błąd zawodniczek ŁKS-u, a tych było sporo. Łodzianki myliły się w ataku, nie najlepiej też przyjmowały zagrywkę. Jedynie w trzecim secie prowadziły w miarę wyrównaną rywalizację. Było to jednak bardziej efektem rozkojarzenia rywalek niż dobrej gry naszego zespołu. Gdy partia zbliżała się jednak do końca, siatkarki z Novary zwarły szyki i błyskawicznie zakończyły mecz. W ich szeregach brylowały Lina Alsmeier, Tatiana Tolok i Sara Bonfacio. Sporo problemów naszym siatkarkom sprawiła też Mayu Ishikawa. Japonka do najwyższych nie należy, mierzy zaledwie 175 cm, ale jest bardzo skoczna, sprytna i świetnie wyszkolona technicznie. Z łatwością obijała ręce blokujących, widziała też każdą dziurę w bloku i tam posyłała piłkę.

Rewanż za tydzień w Novarze. Igor Gorgonzola, by awansować do kolejnej rundy, potrzebuje wygrać dwa sety.

(mic)

(1/8 finału)

- **ŁKS Commercecon Łódź – Igor Gorgonzola Novara 0:3 (17:25, 15:25, 21:25)**

ŁKS: Kowalewska, Scuka (2), Alagierska (9), Hryszczuk (9), Górecka (7), Obiała (5), Stenzel (libero0 oraz Bidias, Cechetto (1), Gajer, Mędrzyk (7). Trener Alessandro CHIAPPINI.

NOVARA: Bosio (1), Alsmeier (12), Bonfacio (10), Tolok (13), Ishikawa (11), Aleksić (7), De Nardi (libero) oraz Mims, Squarcini (1). Trener Lorenzo BERNARDI.

Sędziowali: Zdenek Grabovsky (Czechy) i Serhij Hulka (Ukraina). **Widzów** 1700.

Bohaterka – Lina ALSMEIER.

Sport d013799584

Toruńska szkoła waleczności

Hokeiści GKS-u Tychy w końcówce prowadzili 3:1, ale przegrali po dogrywce i pewnie długo będą wspominali to spotkanie.

Wydawało się, że tyszanie mają wszystko pod kontrolą. Na 3 minuty i 15 sekund przed końcem trzeciej tercji prowadzili bowiem 3:1, a na ławce kar siedział torunianin Mateusz Zieliński. Wtedy jednak goście po raz drugi z rzędu stracili gola, gdy grali w liczebnej przewadze. Trener gospodarzy wziął czas i wycofał bramkarza, a chwilę potem Robert Arrak doprowadził do remisu. A to jeszcze nie koniec, bo na niespełna minutę przed końcem dogrywki Deniss Fjodorovs niesygnalizowanym uderzeniem pokonał Tomasa Fuczika. To był pokaz toruńskiej szkoły waleczności. Hokeiści Energi w niedzielę pokazali się z jak najlepszej strony w katowickiej „Satelicie", tracąc gola na sekundę przed końcem dodatkowego czasu. Tym razem niemal w takich okolicznościach zdobyli zwycięską bramkę i zapisali cenną wygraną. Tym samym seria siedmiu wygranych meczów tyszan została przerwana.



Fot. Łukasz Sobala/PressFocus

Rasmus Heljanko zdobył dwa gole, ale wystarczyły one tylko do zdobycia jednego punktu.

W zespole GKS-u z chwilą przejęcia władzy przez trenera Pekkę Turkkinena obowiązuje fińska szkoła hokejowa. I przynosi ona wymierne efekty, choć zespół z Torunia wraca tylko z jednym punktem. Jednak zawodnicy sami są winni takiej sytuacji. Przez trzy czwarte meczu grali niezwykle rozważnie, cierpliwie i czekali na swoje okazje. A tymczasem wystarczyło jedno potknięcie, by wszystko rozsypało się jak domek z kart.

Długo utrzymywał się bezbramkowy rezultat, choć okazji tyszanie mieli sporo. W 3 minucie Bartosz Ciura trafił słupek, a kilka minut później Mateusz Gościński przekierował krążek, ale ostatecznie nie znalazł się on w siatce. W końcu na początku drugiej tercji do boksu powędrował Pauls Svars i goście taką sytuację za sprawą Rasmusa Heljanki wykorzystali i objęli prowadzenie. Arrak doprowadził do wyrównania, ale ponownie fiński napastnik dał próbkę swoich wysokich umiejętności i w liczebnej przewadze wyprowadził GKS na prowadzenie. To był efekt nierozważnego zachowania Andrija Denyskina, który głową próbował uderzyć Filipa Kom orskigo. Otrzymał 5 minut oraz karę meczu, poważnie osłabił zespół i w tym czasie Heljanko zdobył gola. Aapo Ahola zaskoczył zasłoniętego dobrze dysponowanego. Kluczowy moment meczu, w naszym przekonaniu, nastąpił, gdy tyszanie stracili gola, grając w przewadze. Taka sytuacja zdarzyła im się po raz drugi z rzędu, bo w takich okolicznościach stracili bramkę u siebie z Jastrzębiem. Autorem był Mikolaj Syty. W szeregi tyszan wkradło się zdenerwowanie, zaś gospodarze jeszcze bardziej podkręcili tempo.

Gospodarze w pełni zasłużenie wygrali to spotkanie, bo byli zdeterminowani i szalenie waleczni. Taka rutynowana drużyna jak GKS nie powinna tracić bramki w takich okolicznościach. Tę gorzką pigułkę muszą przełknąć i przygotować się do trudnego, piątkowego występu przeciwko „Pasom".

Włodzimierz Sowiński

■ Energa Toruń - GKS Tychy 4:3 (0:0, 1:2, 2:1, 1:0) po dogrywce

0:1 – Heljanko – Monto (24:51, w przewadze), 1:1 – Arrak – K. Kalinowski – Henriksson (28:53), 1:2 – Heljanko – Monto – Kaskinen (36:08, przewadze), 1:3 – Ahola – Viitanen (46:36), 2:3 – Syty – Baszyrow (56:45, w osłabieniu), 3:3 – Arrak – Thyni Johansson - Lawlor (58:22), 4:3 – Fjodorws (64:03).

Sędziowali: Patryk Kasprzyk i Wojciech Wrycza – Michał Kłosiński i Sławomir Szachniewicz. Widzów 870.

ENERGA: Svensson; Lawlor – Henriksson, Zieliński (2) – Svars (2), Zieliński – A. Thyni Johansson, Gimiński; Baszyrow – Syty – Densykin (5+20), Persson - M.Johansson – Fjodorws, K. Kalinowski – Arrak – Ziarkowski, Worona – Vahatalo – M. Kalinowski, Prokurat. Trener Juha NURMINEN.

GKS: Fuczik; Kaskinen – Bizacki, Ahola – Viinikainen (2), Pociecha – Ciura, Sobecki; Jeziorski (2) – Monto – Lehtonen, Heljanko – Komorski – Łyszczarczyk, Paś – Turkin – Viitanen (4), Gościński – Ubowski – Krzyżek. Trener Pekka TIRKKONEN.

Kary: Energa – 29 (kara meczu dla Denyskina) min, GKS – 8 min

EMOCJI NIE BRAKOWAŁO

■ Hokeiści GKS-u Katowice po awansie do finału Pucharu Kontynentalnego są mocno podbudowani i dysponują dużą siłą mentalną. Po raz kolejny wygrali jednym golem, ale tym razem pokonali „Pasy" w regulaminowym czasie. Goście doskonale zdawali sobie sprawę, że wyprawa pod Wawel nie będzie należała do łatwych. I taka też była, choć długo wszystko układało się po myśli przyjezdnych. Jean Dupuy szybko uzyskał prowadzenie po podaniu Bena Sokaya i technicznym uderzeniem pokonał Alksa D'Orio. Goście mieli inicjatywę, choć miejscowi też szukali swoich szans. Gdy w połowie drugiej tercji Travis Verveda zdobył drugiego gola, wydawało się, że sytuacja została opanowana. A tymczasem goście oddali inicjatywę gospodarzom i na efekty nie trzeba było długo czekać. Damian Kapica i Johan Lundgren duet z „eksportowego" ataku doprowadzili do remisu. Gospodarze zdobyli jeszcze dwa gole, ale oba po analizie wideo nie zostały uznane, bo w 36 minucie krążek wpadł do bramki przez boczną siatkę, zaś w 48 minucie został skierowany łyżwą. Twarda walka trwała o wygraną i po raz kolejny GKS objął prowadzenie. Tym razem Christian Mroczkowski zdobył gola i po raz kolejny zasygnalizował, że warto byłoby go spróbować w reprezentacji. Ostatnie minuty były niezwykle nerwowe w wykonaniu obu zespołów. Trener Marek Ziętara wziął czas i na 100 sekund przed końcową syreną wycofał bramkarza. Goście co rusz wygrywali wznowienia, posyłali krążek w stronę gospodarzy i... znów rozpoczynali grę w swojej tercji. Ostatecznie rezultat się nie zmienił i GieKSa odniosła niezwykle cenne zwycięstwo. **(sow)**

■ Comarch Cracovia – GKS Katowice 2:3 (0:1, 2:1, 0:1)

0:1 – Dupuy – Sokay (1:11), 0:2 – Verveda - Kallionkieli – Salituro (29:55), 1:2 – D. Kapica – Lundgren (35:12), 2:2 – Lundgren – Wahlgren - D. Kapica (37:17), 2:3 – Mroczkowski – Sokay – Dupuy (53:04).

Sędziowali: Pawe Breske i Andrzej Nenko – Eryk Sztwiertnia i Maciej Walusek. Widzów 833.

CRACOVIA: D'Orio; Jaśkiewicz (2) – Brandhammar, Younan – Kruczek, Bieniek – Wanacki, Kamieniew – Jaracz; Johansson – O. Olsson – Mocarski, D. Kapica – Wahlgren – Lundgren, Marzec (2) – Bezwiński – Brynkus, F. Kapica (2) – Jarosz – Strebenz. Trener Marek ZIĘTARA.

GKS: Murray; Maciaś – Verveda, Koponen – Varttinen, Englund (2)– Runesson (2); Wronka – Pasiut – Fraszko, Mroczkowski (2) – Kallionkielli (4) – Dupuy, Bepierszcz – Smal (2) – Michalski. Trener Jacek PŁACHTA.

Kary: Cracovia – 8 (2 tech.) min, GKS - 12 min

LANIE W NOWYM TARGU

■ Mistrz Polski nie zastosował wobec „Szarotek" taryfy ulgowej, choć nie skończyło się dwucyfrówką.

Nie ma sensu owijać w bawełnę – mimo atutu własnego lodowiska popularne „Szarotki" już przed pierwszym gwizdkiem sędziów stały na straconej pozycji w konfrontacji z aktualnym mistrzem Polski. Wprawdzie w 3 minucie spotkania to gospodarze objęli prowadzenie po strzale Marata Saroki w „okienko" bramki Roberta Kowalówki, ale potem goście odarli swoich rywali ze złudzeń. Po pierwszej odsłonie przewaga oświęcimian była minimalna, ale w drugiej tercji podopieczni Nika Zupancicia rozstrzelali się na dobre i jedyną zagadką tego pojedynku były rozmiary wygranej faworyta, a ściślej rzecz ujmując, czy Unia dobije do dwucyfrówki. Nie dobiła, ale wciąż otwarte pozostaje pytanie, czy Podhale musi być tak bezwzględnie upokarzane? Frekwencja na trybunach pokazuje, że kibiców „Szarotek" tęgie baty ich ulubieńców w ogóle nie bawią.

Bogdan Nather

■ Podhale Nowy Targ - Re-Plast Unia Oświęcim 2:9 (1:2, 0:4, 1:3)

1:0 - Saroka - Moś - Jarczyk (2:56, w przewadze), 1:1 - Ahopelto - Karjalainen - M. Noworyta (9:02), 1:2 - Krzemień - Łoza - Prusak (10:23), 1:3 - Olsson - Dziubiński (24:40), 1:4 - Holm - Sadłocha - Galant (26:12), 1:5 - Olsson - Marklund - Soederberg (27:55), 1:6 - Dziubiński – Olsson - Marklund (39:13), 1:7 - Holm - Sadłocha - Prokopiak (42:50), 1:8 - Olsson - Marklund - Soederberg (51:12), 2:8 - Tomasik - Kolusz - Neupauer (56:20), 2:9 - M. Noworyta - Karjalainen - Heikkinen (57:36).

Sędziowali: Mateusz Krzywda i Wojciech Czech oraz Michał Żak i Dariusz Pobożniak. Widzów 600.

PODHALE: Klimowski (26:12. Bizub); Schmidt - Tomasik, Michalski (2) - Wajda, Wikar - Mrugała, Nykaza (2); A. Słowakiewicz - Kolusz - Neupauer, Saroka - Moś - Jarczyk, Żółtek - J. Malasiński - Bryniarski, Chyrkin. Trenerzy: Aleksandr BELAVSKIS i Rafał SROKA.

UNIA: R. Kowalówka; Ackered - Soederberg, Uimonen - M. Noworyta (2), Diukow - Prokopiak, Łukawski - Bezuszka; Marklund - Dziubiński (2) - Olsson, Karjalainen (2) - Heikkinen - Ahopelto, Sadłocha (2) - Galant - Holm, Prusak - Krzemień - Łoza. Trener Nik ZUPANCIĆ.

Kary: Podhale - 4 min, Unia - 8 min.

TAURON HOKEJ LIGA

1. GKS Tychy (p)	22	55	101:42	18	4/1
2. Re-Plast Unia Oświęcim (m, sp)	22	45	89:54	15	7
3. GKS Katowice	22	44	83:48	15/2	7/1
4. JKH GKS Jastrzębie	22	40	79:57	14/2	8
5. Comarch Cracovia	22	38	94:58	13/1	9
6. EC Będzin Zagłębie Sosnowiec	22	32	63:60	10	12/2
7. KH Energa Toruń	23	31	73:74	10/1	13/2
8. Texom STS Sanok	23	12	36:95	4	19
9. Podhale Nowy Targ	22	3	33:162	1	21

W piątek, 29.11., grają: Unia - Zagłębie (18.00), GKS Tychy - Cracovia (18.00), JKH - Energa (18.00), GKS Katowice - Podhale (18.30).

HAT TRICK KRĘŻOŁKA

■ Po 110 sekundach było już 2:0, ale po pierwszej tercji tylko 2:1. Jeśli sanoczanie myśleli o jakiejś zdobyczy w Sosnowcu, to już w połowie meczu mogli o tym zapomnieć, głównie za sprawą Patryka Krężołka, który trafiał po razie w każdej tercji.

■ EC Będzin Zagłębie Sosnowiec - Texom STS Sanok 6:2 (2:1, 2:0, 2:1)

1:0 - Sozanski - Korenczuk - Tyczyński (0:41), 2:0 - Krężołek - Nahunko - Szturc (1:50, w przewadze), 2:1 - J. Musioł - Strzyżowski (19:16), 3:1 - Krężołek - Tyczyński - Szturc (24:24), 4:1 - Bernacki - Djumić - Korenczuk (25:50, w przewadze), 5:1 - Krężołek - Nahunko (45:28, w przewadze), 5:2 - Florczak - Filipek - Strzyżowski (52:40), 6:2 - Djumić - Bernacki - Nahunko (57:37).

Sędziowali: Marcin Polak - Bartosz Kaczmarek oraz Artur Hyliński - Piotr Kot. Widzów 1000.

ZAGŁĘBIE: Szczepkowski; Krawczyk - Charvat, Sozanski - Szaur, Andrejkiw (2) - Naróg, Włodara; Krężołek - Tyczyński - Szturc, Djumić - Nahunko - Bernacki, Bucenko - Viikila - Korenczuk, Karasiński - Kaczyński - Ciepielewski. Trener Piotr SARNIK.

STS: Salama; Florczak - Biłas, Tamminen (4) - Karlsson, D. Musioł (2) - Rocki (2), Niemczyk; Filipek - Huhdanpaa - J. Bukowski (4), K. Bukowski - Strzyżowski - J. Musioł, Dobosz - I. Baida - D. Baida, Fus - Bryzgałow - Karnas, Ginda. Trener Elmo AITTOLA.

Kary: Zagłębie - 2 min, STS - 14 (2 techn.) min.

Sport d013799584

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

ŚRODA 27 LISTOPADA

TVP 1

20.10 Przegląd wydarzeń, 20.55 Pn: Liga Mistrzów, Aston Villa - Juventus Turyn (na żywo)

TVP SPORT

19.45 Pn: Liga Mistrzów, studio i AV - Juventus (na żywo), 23.15 Skróty LM

POLSAT SPORT 1

9.00 Polsat Futbol Cast, 17.50 Siatkówka: Liga Mistrzyń, BKS Bostik ZGO Bielsko-Biała - Savino Del Bene Scandicci, 20.20 DevelopRes Rzeszów - A. Carraro Imoco Volley Conegliano (na żywo)

POLSAT SPORT 2

12.00, 15.00 Motocyklowe MŚ: GP Portugalii, wyścigi w JuniorGP, 17.30 Siatkówka: PlusLiga, Nowak-Mosty MKS Będzin - Ślepsk Malow Suwałki, 19.50 Liga Mistrzyń: Neptunes Nantes - Fenerbahce Medicana Stambuł (na żywo)

POLSAT SPORT 3

17.50 Siatkówka: Liga Mistrzyń, CSO Voluntari 2005 - Allianz MTV Stuttgart (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1

16.20 Pn: Liga Konferencji, Basaksehir - Petrocub Hincesti, 18.50 Siatkówka: Liga Mistrzyń, Tent Obrenovac - SSC Palmberg Schwerin (na żywo)

EUROSPORT 1

13.45, 22.30 Snooker: 5. dzień UK Championship, 18.40 Piłka ręczna: Liga Mistrzów, Aalborg Handbold - Industria Kielce, 20.30 SC Magdeburg - Barca (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmian w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport
Adres: 40-013 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny Andrzej GRYGIERCZYK
Redaktor wydania Grzegorz KACZMARZYK
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba



Fot. PressFocus

Hubert Hurkacz i Iga Świątek rozpoczną nowy sezon w United Cup 30 grudnia.

United Cup w Polsacie

Polsat Sport pokaże drużynowy turniej ATP 500/WTA 500 United Cup 2025, który rozpocznie się 27 grudnia w Perth. Dzień później pierwsze mecze w Sydney, a w dalszej kolejności m.in. z udziałem Polaków. Rywalami Igi Świątek, Mai Chwalińskiej, Alicji Rosolskiej, Huberta Hurkacza, Kamila Majchrzaka i Jana Zielińskiego w grupie B będą tenisiści z Norwegii (30 grudnia, godz. 7.30) i Czech (1 stycznia, godz. 0.30).

Szczęście Kawy

Półfinalistki Billie Jean King Cup 2024, Maja Chwalińska (161. WTA) i Katarzyna Kawa (296. WTA), prosto z Malagi udały się do stolicy Argentyny, by zagrać w Buenos Aires w czwartej edycji turnieju na kortach ziemnych WTA 125 z pulą nagród 115 tys. dolarów. Kawa może mówić o szczęściu, bo miała startować w eliminacjach, ale z zawodów wycofało się kilka tenisistek, m.in. Meksykanka Renata Zarazua (51. WTA) i 32-letnia Polka wskoczyła do głównej drabinki. I wykorzystała szansę, pokonując w 1. rundzie 38-letnią Amerykankę Varvarę Lepchenko (kiedyś 19. na świecie, obecnie 143. WTA) 2:6, 6:2, 6:4. Polki trafiły do jednej ćwiartki drabinki, ale do wewnętrznego ćwierćfinału nie dojdzie, bowiem Chwalińska przegrała na otwarcie z Łotyszką Darią Semenistają (121. WTA) 3:6, 6:4, 2:6.

Awans debla

Duet Karol Drzewiecki i Piotr Matuszewski kontynuuje udane starty, również po powrocie do Europy z Ameryki Południowej. W finale imprezy ATP Challenger Tour 75 w hiszpańskim Montemarze nasza para wygrała z Hiszpanem Danielem Rinconem i Abdullahem Shelbayhem z Jordanii 6:3, 6:4. W półfinale polska para obroniła aż cztery meczbole, w tym trzy w tie-breaku drugiego seta, ostatecznie pokonując Serbów Ivana Sabanova i Mateję Sabanova 5:7, 7:6 (14-12), 10-8. W ten sposób Drzewiecki i Matuszewski odnieśli czwarte wspólne zwycięstwo w ATP Challenger Tour w 2024 r. – w styczniu byli najlepsi w Oeirasie (Portugalia), a jesienią w Guayaquilu (Ekwador) i w Limie (Peru). Obaj odnotowali awans w deblowym rankingu ATP na swoje najwyższe pozycje – Matuszewski na 78., a Drzewiecki na 92. Drzewiecki w tym roku zdobył też dwa tytuły w challengerach z zagranicznymi partnerami: w New Delhi z Australijczykiem Matthew Christopherem Romiosem i w Porto z Danielem Cukiermanem z Izraela. Po udanym występie w Hiszpanii Polacy postanowili odpocząć, zanim rozpoczną przygotowania do nowego sezonu.

(t)

Efekt nowej miotły

Zwolniony z Bostonu Jim Montgomery pięć dni później podpisał kontrakt w St. Louis.

NHL

Jim Montgomery, 55-letni trener z bagażem doświadczeń, jest kontrowersyjny, bo z Dallas Stars odchodził po kilku miesiącach pracy ze względów dyscyplinarnych (nadużywanie alkoholu). Odbył terapię i w czerwcu 2022 roku został zatrudniony w Boston Bruins. Z tym zespołem wygrał sezon zasadniczy z rekordową liczbą 65 zwycięstw i punktów (135). „Niedźwiadki" uchodziły za jednych z faworytów play offu, ale skończyło się na 1. rundzie i porażce w serii z Florida Panthers 3-4. 19 listopada nadszedł jego kres w Bostonie (po 8 zwycięstwach i 12 porażkach), ale na nową pracę czekał zaledwie pięć dni, bo podpisał pięcioletni kontrakt z St. Louis Blues, zastępując Drewa Bannistera. Dzień później jego nowy zespół wygrał w Madison Square Garden z New York Rangers 5:2 (1:1, 1:1, 3:0). Tuż po końcowej syrenie hokeiści zgodnie z tradycją wręczyli trenerowi meczowy krążek za zwycięstwo. W środowisku sportowym w takich sytuacjach mówi się, że zadziałał efekt nowej miotły. Być może tak się stało, ale bacznie będziemy obserwować dalsze poczynania „Bluesmenów" oraz ich opiekuna.

Joel Hofer obronił 27 strzałów, a przepuścił krążek jedynie po uderzeniach Willa Coylle'a (9 i 28 minuta). Igor Szestiorkin, jego vis-a-vis, miał zdecydowanie więcej pracy, bo zaliczył 38 udanych interwencji, ale gospodarze ponieśli trzecią porażkę z rzędu (wcześniej z Edmonton 2:4 i Ottawą 2:3 na wyjazdach), pozwalając na oddanie 40 lub więcej strzałów w każdym z tych trzech meczów. Zack Bolduc strzelił swoje pierwsze dwa gole (25 i 49) w sezonie, a ponadto trafiali: Jordan Kyrou (12), Brayden Schenn (42) i Paweł Buczniewicz (58, do pustej).

Connor Hellebuyck zaliczył 43 skuteczne interwencje, zaś lider Konferencji Zachodniej i całej tabeli – Winnipeg Jets, zaliczył drugie wyjazdowe spotkanie, tym razem pokonując Minnesota Wild 4:1 (1:1, 1:0, 2:0). Ma 36 punktów i wyprzedza Minnesotę o 6 „oczek". W Konferencji Wschodniej prowadzi New Jersey (32) przed Carolina (31).



Fot. SIPA/PressFocus

Jim Montgomery 18 listopada był w boksie Boston Bruins, a niecały tydzień później poprowadził St. Louis do zwycięstwa w Nowym Jorku.

Wyniki: NY Rangers – St. Louis 2:5, Minnesota – Winnipeg 1:4, Tampa Bay – Colorado 8:2, Florida – Washington 1:5, New Jersey – Nashville 5:2, Philadelphia – Vegas 4:5 po dogr., Carolina – Dallas 6:4, Annaheim – Seattle 2:3, San Jose – Los Angeles 7:2, NY Islanders – Detroit 2:4, Ottawa – Calgary 4:3

(ws)

Sport d013799584

Król strzelców

Druga część rozmowy z **Mateuszem Gradeckim**

Po finale Challenge Tour na Majorce w listopadzie 2022 r. zająłeś to niefortunne 21. miejsce w rankingu i nadszedł kolejny sezon, w którym grałeś głównie na DP World Tour. Często do ostatniej chwili nie wiedziałeś, czy dostaniesz się do turnieju. Do tego doszły problemy z kolanem. Opisz ten trudny czas.

– Tak, z tą kategorią było mi ciężko panować nad sezonem. Często dostawałem się do turnieju dwa, trzy dni przed jego rozpoczęciem. Następowały ciągłe zmiany planów i podróży. Mimo to chciałem grać we wszystkich turniejach DP World Tour, do których się dostałem. Niestety połowę z tego grane było już po kontuzji. Gdybym nie dostawał szans na DP World Tour, to myślę, że szybciej podjąłbym się operacji. Chciałem jednak, czując, że jakoś daję radę, przeciągnąć to ile się da. Na koniec nie grałem wystarczająco dobrze ani na DP World Tour, żeby utrzymać tam kartę, a na Challenge, żeby być w stanie dostać się do finału.



Fot. archiwum zawodnika

Mateusz Gradecki wkrótce powalczy w Q-School Asian Tour.

Kiedy miałeś kontuzję kolana i jak do niej doszło?

– To stało się na początku maja, na treningu przed pierwszym europejskim turniejem sezonu DP World Tour – Soudal Open. Teraz już wiem, z czego to się wzięło. Robiąc zamach do tyłu, za bardzo zostawałem na lewej nodze i obracając się, było dużo nacisku na lewy staw kolanowy. W końcu zaczęło tam chrupać. Frustrujące było zwłaszcza to, że kontuzja przydarzyła się, kiedy zacząłem bardzo dobrze uderzać.

W Pro-Amie Rosa Challenge Tour grałeś ze swoim tatą i Michałem Probierzem. Opisz jakim golfistą jest selekcjoner kadry. Widziałam, że było wesoło w waszej grupie.

– Tak, panowała tam dość luźna atmosfera. Na pewno pomagam Michałowi mu golfowo. On z kolei pomaga mi czysto sportowo i jest moim mentorem. To on wysłał mnie z kolanem do lekarza kadry – Jarosława Jaroszewskiego, który wykonał operację. Tak naprawdę to z jego polecenia i dzięki zaufaniu do niego zdecydowałem się na zabieg. Wcześniej długo to odwlekałem. Tak więc jesteśmy w stałym kontakcie.

A jak opisałbyś zamach golfowy Michała Probierza?

– Coraz lepszy.

Przed golfem byłeś świetnie zapowiadającym się piłkarzem. Opowiedz nieco o swojej karierze na boisku.

– Zacząłem trenować w Śląsku Wrocław w młodszych dywizjach, miałem wtedy może 9-11 lat. Grałem na fajnym poziomie, ale dojazdy na treningi do Wrocławia były dla mnie sporymi wycieczkami. Cały czas były przejazdy z Obornik Śląskich, a oni wszyscy dobrze znali się ze szkół z Wrocławia. Ja byłem z zewnątrz. Rodzice mówią, że te dojazdy nie nastrajały mnie najlepiej. Później grałem w Obornikach z dużo starszymi od siebie zawodnikami. Nadrabiałem techniką, ale siła graczy z drużyny seniorskiej to nie najlepsza droga rozwoju młodego chłopaka. Byłem w kadrze Dolnego Śląska w swoich grupach wiekowych, jeździłem na zgrupowania, grałem w zawodach wojewódzkich, a nawet międzynarodowych. Kiedy pojawił się golf, musiałem w końcu wybrać. Wygrał sport indywidualny.

Czym charakteryzowałeś się jako piłkarz?

– Sprytem, techniką, szybkością, bardzo dobrze czytałem grę i dużo widziałem na boisku. Grałem w środku pola, zajmowałem się kreowaniem gry, ale i strzelaniem bramek – byłem w tym dobry. Tworzyłem dużo sytuacji na boisku i dużo strzelałem – taki klasyczny numer 10.

Byłeś kiedyś królem strzelców?

– Nieraz! Fajnie się to rozwijało. Parę osób mi w tym pomagało. Mój starszy brat kupił nawet jakieś książki szkoleniowe i trenował mnie indywidualnie. Znajomy rodziny – były trener – też robił mi indywidualne zajęcia. Moja starsza siostra Karolina grała zawodowo w piłkę ponad 10 lat. Ona grała na pozycji stopera, więc uczyłem się ją przechodzić. Dobrze broniła, ja dobrze atakowałem i często graliśmy jeden na jeden.

Opowiedz o swoich golfowych początkach i o turnieju, kiedy ty i Adrian Meronk caddiowaliście swoim mamom.

– To były mistrzostwa Polski kobiet w Rajszewie. To tam chyba pierwszy raz widzieliśmy się z Adrianem. Nasze mamy chyba nawet grały ze sobą w ostatniej rundzie. Tak właśnie się poznaliśmy. Pamiętam, że podczas tej rundy jakoś nie rozmawialiśmy ze sobą za dużo. Ja wtedy grałem w golfa raz do roku na obozie w Binowie, a Adrian już trochę pogrywał.

Podobno początkowo nie byłeś specjalnie zainteresowany golfem. Dlaczego zacząłeś zmieniać zdanie i kiedy się wkręciłeś?

– Tych czasów i dokładnie kiedy to wszystko się zaczęło, nie pamiętam dokładnie. Pamiętam, że na początku grali rodzice, a ja patrzyłem na to... co za nuda. Byłem bardzo energiczny i musiałem wyżywać się na boisku. Całymi dniami grałem i trenowałem, a golf wydawał mi się wtedy zbyt statyczny. Kiedy wreszcie zacząłem grać, trochę się uspokoiłem, a golf dał mi odskocznię. Zaraz przyszły pierwsze starty w turniejach juniorskich. Zacząłem coś tam wygrywać i wydawało się to fajne, że po jednym dniu zawodów można coś zdobyć. W piłce nożnej, żeby coś wygrać i dostać trofeum, trzeba czekać cały sezon. Ewentualnie w jednym turnieju możesz zostać na przykład królem strzelców, ale takich okazji jest znacznie mniej. To podobało mi się w golfie.

Opisz waszą golfową przyjaźń z Adrianem. Zaczynaliście razem, wspólnie wygrywaliście z Toyą mnóstwo klubowych mistrzostw Polski. Razem trenowaliście, jeździliście na zgrupowania kadry i turnieje oraz studiowaliście w East Tennessee State University. Jak wspominasz tamte piękne czasy i jak oceniasz wpływ tej znajomości i rywalizacji na to, jakim jesteś golfistą?

– W trakcie studiów i przed nimi to pewnie spędzaliśmy razem ponad 350 dni w roku. I wakacje, i treningi, i w szkole – byliśmy w jednym liceum, a później studiowaliśmy na jednej uczelni. Także przez wiele, wiele lat byliśmy praktycznie nierozłączni. Myślę, że bez tego wszystkiego nie rozwinęlibyśmy się tak golfowo – na pewno ciągnęliśmy się nawzajem. To było ważne, żeby mieć taką zdrową, bliską rywalizację. Myślę, że bez tego byłoby ciężko dojść samemu do tych osiągnięć, szczególnie juniorskich.

Wyobrażam sobie, że na co dzień graliście mnóstwo szybkich konkursów i ciągle rywalizowaliście, w puttowaniu, chippowaniu, na polu.

– Było tego mnóstwo. Cały czas to robiliśmy, cały czas rywalizowaliśmy. To było kluczowe w naszym rozwoju. Mieliśmy fajną paczkę we Wrocławiu. Ja z Adrianem, Jasiu Szmidt trenował na wysokim poziomie, była też moja siostra – Dominika. Często wspólnie trenowaliśmy.

Pamiętasz, ile razy legendarna drużyna Toya Golf zdobywała klubowe mistrzostwo Polski?

– Myślę, że zdobyliśmy mistrzostwo z pięć razy z rzędu. Później przestaliśmy grać w tych mistrzostwach, bo wyjechaliśmy na studia. Przed wyjazdem wygraliśmy wszystko, nie pamiętam, ile tego było dokładnie. Niektóre mistrzostwa były takie, że wygrywaliśmy do zera większość meczów. W pewnym momencie mieliśmy w ekipie sześciu reprezentantów kraju, którzy uczestniczyli w mistrzostwach świata. Był taki czas, że w naszej drużynie byli: Martyna Mierzwa, Dominika, Kasia Selwent, Jasiu, Adrian i ja. To było sześć osób i wszystkie w tym samym roku rywalizowały na mistrzostwach świata.

W tym roku grałeś w turniejach Challenge Tour dzięki kategorii 13. Teraz skończyła się ta możliwość. Jakie masz plany zawodowe na kolejny sezon? Wracasz na Pro Golf Tour? Liczysz na „dzikie karty" na Challenge Tour?

– Zdecydowałem się powalczyć na Q-School Asian Tour. W grudniu lecę do Tajlandii, gdzie odbędą się dwa etapy, jeden po drugim. Po pierwszym z nich jest od razu etap finałowy, gdzie będę próbował wywalczyć kartę. Tamta kategoria daje większość startów w turniejach International Series. Asian Tour jest teraz trochę powiązany z LIVem, więc turnieje mają coraz większe pule nagród. Zaczynam tam walkę od 10 grudnia, cztery rundy, trzy dni przerwy i pięciorundowy finał. Więc to jest plan na kolejny sezon, plus zaproszenia na Challenge Tour, które powinny się pojawić w związku z rozgrywanym po raz drugi w Polsce Rosa Challenge Tour. Poza tym może będzie też parę startów zimowych na Pro Golf Tour, jeśli tak ułoży się kalendarz.Na razie chcę się porządnie przygotować. Zacząć z powrotem treningi, bo tak naprawdę po kontuzji, operacji i rehabilitacji nie miałem na to czasu, tylko od razu zacząłem grać. Teraz chcę wrócić i trenować. Już zacząłem pracę nad paroma aspektami, tak żeby odciążyć kontuzjowane kolano i żeby swing wrócił tam, gdzie bym chciał. Myślę, że to przyniesie efekty.

Kasia Nieciak

■ Pierwsza część rozmowy ukazała się w wydaniu poniedziałkowym.

Sport d013799584